



Nr 211 (4557)  
6-7 IX. 1958 r.

# TRYBUNA ROBOTNICZA

12 stron  
CENA  
1 zł

NAKLAD  
383202 egz.

## MAGAZYN NIEDZIELNY

ORGAN KW POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

# Bezpieczeństwo w górnictwie węglowym musi ulec radykałnej poprawie

„Trybuna Robotnicza” rozmawia z min. górnictwa i energetyki  
inż. Franciszkiem Waniółką

### W numerze:

Wiesz	Str. 3
Notatki i utarczki	
„Jeźdźcy przytępiu”	Str. 4
Zdzisław Hierowski	Str. 6
Sprawy smutne	
Emil Vachek	
Niezrozumiany	Str. 7
Zdzisław Lachur	
Sztuka na codzień	Str. 8
Wilhelm Szewczyk	
Fosfor, bez i atom	
Barbara Knoll	
Powódź	Str. 9
„Hugo de Groot” nie odpowiada	
Kurzy mózdzek czyli główka pracuje	
Ponadto: Moda — Film — Sputniczek	

**Z**AGWARANTOWANIE bezpiecznych warunków pracy górnikom stało od dawna w centrum zainteresowania partii i rządu. Wystarczy wspomnieć o dwóch uchwałach Biura Politycznego KC PZPR z 1954 i 1955 r., które w sposób kategoryczny zalecają szereg posunięć natury organizacyjnej i technicznej, prowadzących do rozwiązania tego niewątpliwie nabrzmiałego problemu.

Nie ulega wątpliwości, iż w okresie jaki upłynął od wspomnianych uchwał, wiele zmieniło się w tej dziedzinie w przemyśle węglowym. W związku z koniecznością wycofania światła otwartego z podziemi kopalń, oddano do użytku w 1957 r. cztery lampiarnie, obecnie prowadzona jest budowa 23 dalszych. Do końca czerwca br. zainstalowano rurociągi przeciwpożarowe o łącznej długości 430 km. Instalacja dalszych rurociągów jest w pełnym toku. Rozbudowano także sieć telefoniczną. Wprowadzono taśmę trudnopalną w ilości 199 km i kable z izolacją niepalną. W przemyśle węglowym obecnie stoi do dyspozycji około 440 tys. pochłaniaczy ucieczkowych. W przeszło 700 punktach zainstalowano sygnalizację merkaptanową. Stworzono 7 Okręgowych Stacji Ratownictwa Górniczego.

Trzeba jednak — gwoździ prawdy — podkreślić, iż realizacja postulatów wysuniętych w uchwałach Biura Politycznego KC PZPR natrafia na poważne przeszkody natury zaopatrzeniowej. Niektóre przemysły nie realizują w pełni zamówień, złożonych na urzędzenia związane z bhp przez górnictwo. Napiszemy o tym obszerniej innym razem.

Państwo wydaje olbrzymie sumy na bhp w przemyśle węglowym. Nakłady finansowe przeznaczone na ten cel od 1950 do 1955 roku osiągnęły sumę 264 mln. zł. Planowane w obecnej pięcioletce wydatki miały wynieść 476 mln. zł, jednak Ministerstwo Górnictwa i Energetyki, kosztem inwestycji przemysłowych, grubo tę cyfrę przekroczy. Realizacja programu bhp w operatywnych planach inwestycyjnych kształtuje się następująco: w 1956 r. wydatkowano na ten cel 112,5 mln. zł, w roku następnym — 148 mln. zł, plan na rok 1958 przewidyuje sumę 190 mln. zł, na rok 1959 — 185 mln. zł, na 1960 — 200 mln. zł. Tak więc łącznie wydamy w okresie pięcioletki na bhp 836 mln. zł, zamiast zaplanowanych 476 mln. A więc resort górnictwa dokonał niemało, aby załogi kopalń mogły pracować w bezpieczniejszych warunkach.

Jednakże wszystkie dotychczasowe posunięcia, tak techniczne jak i organizacyjne nie wystarczają, skoro w dalszym ciągu dochodzi do katastrof górniczych.

(Dokończenie na str. 3)



STANISŁAW LEM

# EDEN

- W powieści „EDEN” udział biorą: przybysze z Ziemi — energiczni i przewidujący Koordynator, dowcipny Doktor, dociekliwy Inżynier no i niezbędni w takiej wyprawie Fizyk, Chemik i Cybernetyk. Poza tym oczywiście tłumy tajemniczych mieszkańców samej planety.
- Dwaj mieszkańcy Edenu zawierają bliższą przyjaźń z przedstawicielami Ziemi i wyciągają z niej tragiczne dla nich same wnioski.

- Tłem akcji jest nieznana, pełna tajemniczych i niepokojących zjawisk przyroda planety, a główne i najbardziej dramatyczne wydarzenia rozgrywają się w momentach zetknięcia się przybyszów z Ziemi z wysoką i groźną dla nich cywilizacją mieszkańców planety, broniących się przed inwazją intruzów.
- Co krok to zagadka, każda wyprawa w głąb planety to nowe odkrycia, to szereg nowych, nieznanych niebezpieczeństw.

## Sytuacja w Cieśninie Taiwanu

- ◆ ZSRR ostrzega przed agresją wobec ChRL
- ◆ Japonia nie uznaje strefy 12 mil
- ◆ Anglia przerzuca wojska do Hongkongu

PEKIN (PAP) Rzecznik Japońskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych oświadczył, że Japonia nie może uznać decyzji rządu ChRL w sprawie rozszerzenia pasa wód terytorialnych do 12 mil morskich. W komunikacie dla prasy ministerstwo powołuje się na ostatnią konferencję genewską poświęconą zagadnieniom prawa morskiego i podkreśla, że rząd japoński nadal uważa za powszechnie obowiązującą szerokość wód terytorialnych wynoszącą 3 mile.

Natomiast przewodniczący zrzeszenia rybaków japońskich zwraca uwagę, że decyzja rządu chińskiego nie odbija się na interesach rybaków ze względu na odpowiednie postanowienia japońsko-chińskiego układu w kwestii rybołówstwa.

Agencja Nowych Chin podaje, że angielskie władze wojskowe w Singapurze zapowiadają skierowanie z Singapuru do Hongkongu jednego batalionu żołnierzy i oficerów i że oddziały te przybędą do Hongkongu 25 września.

Decyzja ta uważana jest za poparcie Stanów Zjednoczonych w ich polityce pogłębiania napięcia na Dalekim Wschodzie.

Amerykański senator demokratyczny Wayne Morse stwierdza w publikowanym oświadczeniu, że w związku z napiętą sytuacją na Dalekim Wschodzie należy niezwłocznie zwołać sesję Kongresu i „przeszkodzić zarówno prezydentowi Eisenhowerowi, jak i Dullesowi w balansowaniu na skrajem przepaści w sprawach polityki zagranicznej”.

Prezydent Eisenhower powinien przedstawić całokształt taiwańskiego kryzysu na forum ONZ, gdyż kryzys ten zagraża pokojowi światowemu — oświadcza amerykański senator. — Jeżeli chodzi o wyspy Quemoy i Matszu, Stany Zjednoczone nie mają z punktu widzenia prawa międzynarodowego żadnych podstaw do popierania prezydentowi Czang Kai-szeka do tych terytoriów. O ile wniesiemy się w tę sprawę, słusznie uznani zostaniemy za agresorów.

(Dokończenie na str. 3)

## Zorza polarna nad Polską

WARSZAWA (PAP) W czwartek w późnych godzinach wieczornych w kilku miejscowościach Polski zaobserwowano zorzę polarną. Około godz. 22.30 zauważyła zorzę obserwatorium Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zauważono, że północny horyzont zalegała seledynowa poświata, rozpościerająca się nad ciemnym łukiem. Po obu jej stronach na zachodzie i wschodzie widniały purpurowe obłoki. Wkrótce po tym pojawiły się promienie wychodzące z północnego horyzontu o barwach: seledynowych, białych i purpurowych. Główną działalność zorzy przemieszczała się ku zachodowi i przepadła na okolicę gwiazdozbioru Wielkiej Niedźwiedzicy. Zjawisko trwało ze zmiennym natężeniem do godz. 0.30.

W Warszawie o godz. 22.50 zorzę polarną zaobserwowała stacja meteorologiczna na Okęcu. Zjawisko zorzy koło toru pomarańczowego w kształcie słupów ukazywało się w północnej części nieba, o największym natężeniu kilkanaście stopni na lewo od Gwiazdy Polarnej. Zorza widoczna była do godz. 23.30.

Nieco wcześniej, już o godz. 21 lunę zorzy Polarnej zaobserwowało Obserwatorium Astronomiczne — Geodezyjne Politechniki Warszawskiej.

O godz. 23.30 zorzę wystąpiła nad Warszawą ponownie, w nasileniu rzadko notowanym w naszej szerokości geograficznej.

W nocy z dnia 4 na 5 bm. również wielu mieszkańców woj. wrocławskiego podziwiała niezwykle na tej szerokości geograficznej zjawisko zorzy polarniej. Po godz. 22 — północna część nieboskłonu nad Dolnym Śląskiem zaczęła przybierać kolor różowy, a po upływie pół godziny plonęła już jaskrawą purpurą.

Od czasu do czasu na tle podobnego do lunoj pozornej zjawiska pojawiały się potężne ogniste słupy jasniejszego światła.



ŚWIETNA  
ZABAWA

Teatr im. Wyspiańskiego rozpoczyna swoją pracę po feriiach od razu od dużej i wesołej niespodzianki: jest nią premiera „Policii” znakomitego satyryka Sławomira Mrożka, laureata nagrody literackiej „Przeźródła Kulturalnego”. Mrozek nazwał swoją pierwszą sztukę „dramatem ze sfery żandarmeryjnych”. Nie trzeba dodawać, że jest to dramat nie zwykły, zabawny, nasycony wspaniałą satyrą i humorem. Kto chce przeżyć dwie godziny dobrej, inteligentnej zabawy, niech odwiedzi Małą Scenę w Katowicach, gdzie w sobotę 6 bm. odbędzie się pierwsze przedstawienie „Policii”. Na zdjęciu od lewej: Michał Lesiak (Sierżant – prowokator), Kazimierz Iwinski (Naczelnik policji), Mieczysław Jasiecki (Wizien i Adjuant) oraz General (Romuald Bojanowski).

foto B. Stapiński

W całych Chinach  
powstają  
komuny ludowe

Wielka chińska wchodzi obecnie w nowy okres socjalistycznego rozwoju. Od lipca br. trwa w Chińskiej Republice Ludowej coraz bardziej masowy proces tworzenia komun ludowych. Powstają one w wyniku połączenia szeregu spółdzielni produkcyjnych w jeden większy zespół nazwany komuną ludową.

W całych Chinach odbywają się powszechne zebrania. Świadczą one o dużym zainteresowaniu ideą tworzenia komun ludowych ze strony chłopów oraz ich poparcie dla nowych projektów.

Przekształcanie się spółdzielni rolniczych w komuny ludowe stanowi nieunikniony etap rozwoju, wynikający z rewolucji

socjalistycznej i z budownictwa socjalistycznego w Chinach, uwarunkowany ogólnym „skokiem naprzód” przemysłu i rolnictwa w ciągu ostatniego roku. Proces ten odpowiada państwu potrzebom mas chłopskich. W tej nowej sytuacji dla chłopów stało się jasne, że istniejące stosunki produkcji w spółdzielniach rolniczych nie mogą już odpowiadać powszechnemu, gwałtownemu wzrostowi przemysłu, rolnictwa i budownictwa.

Rozpoczęły w lipcu proces tworzenia komun ludowych szereg rozmach w wyniku podroży inspekcyjnej po prowincji Honan, przeprowadzonej przez Mao Tse-tunga, który wytyczył właściwy kierunek, jaki należy obrać w organizowaniu komun ludowych.

ZSRR ostrzega  
przed agresją  
wobec ChRL

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

„Związek Radziecki nie będzie spokojnie patrzył na przygotowania wojenne Stanów Zjednoczonych w rejonie Oceanu Spokojnego, którego wody obmywa brzegi radzieckie” — pisał wczorajsza „Prawda” w komentarzu omawiającym ostatnie wydarzenia w rejonie Cieśniny Taiwańskiej.

„Prawda” pisał m. in. iż prowokacyjne napady czangkaizkowskie na terytorium Chin Ludowych, przedsięwzięte na rozkaz ich amerykańskich mocodawców, są częścią większych planów prowokacji wojennej, jaką Stany Zjednoczone przygotowują przeciwko Chińskiej Republice Ludowej i narodom Azji w ogóle. Następnie „Prawda” stwierdza, iż tłumaczenia dyplomatów amerykańskich, że wyspy mają ogromne znaczenie dla obrony i bezpieczeństwa samych Stanów Zjednoczonych, są obliczone na wprowadzenie w błąd amerykańskiej opinii publicznej i sojuszników USA. W rzeczywistości po prostu służą za odskocznię dla dokonywania napadów na Chińską Republikę Ludową i w jej okolicach stanowią główną bazę dla dokonywania a-

gresywnych wypadków na terytorium chińskim.

Zamiar ChRL wyzwolenia tych wysp z rąk obcych zaborców i ich najemników — pisał „Prawda” — jest w pełni usprawiedliwiony i zgodny z prawem. Wszystkie pokój milujące narody z sympatią śledzą wysiłki narodu chińskiego i zyczą mu zwycięstwa w jego walce o jednoczenie swego państwa.

„Prawda” wskazuje dalej, że nowa awantura wojenna wszczęta przez imperialistów USA na Dalekim Wschodzie, niesie w sobie poważną i bezpośrednią groźbę dla pokoju na całym świecie. Chińska Republika Ludowa pisał „Prawda” rozporządza dostateczną siłą, by dać należyte odprawę agresorom. Po stronie ChRL znajduje się nie tylko sympatia wszystkich narodów Azji, Afryki, Ameryki Łacińskiej i Europy, ale i siła całego obozu socjalistycznego.

Korespondent dyplomatyczny PAP red. Edmund Osmacznyk pisze:

W samochodzie niebezpiecznie przejeżdżał na skraj przepaści siedzący na przedzie Eisenhower i Dulles, a w tył wuj Sam, który z przerażeniem zapytał: „Czy trzeba było koniecznie jechać na krawędź przepaści?”

Za równie przerażonego Eisenhowera odpowiadał Dulles. „Ważniejsze jest to, wuj Samie, że nie możemy nas teraz opuścić i wyjechać”.

Rysunek tej treści jest ilustracją artykułu wstępnego dziennika „Washington Post” w sprawie wuj Samie i Dullesa. W „Washington Post” jest zdania, że problem chińskich wysp przybrzeżnych wola gromkimi głosami o rokowania, a nie o użycie siły. Dziennik dodaje jednak pesymistycznie, że trudno oczekiwać, by rząd USA porzucił swą nieraźliwą politykę wobec ChRL, podobnie jak trudno oczekiwać, by rząd Chin Ludowych uznał formalnie „niezależność” Tajwanu.

Rosnąca obawa przed nową krytyczną sytuacją Stanów Zjednoczonych z kolei na Dalekim Wschodzie staje się w Waszyngtonie powszechna.

Rosnąca obawa przed nową krytyczną sytuacją Stanów Zjednoczonych z kolei na Dalekim Wschodzie staje się w Waszyngtonie powszechna.

Z ogólnej sumy ok. 10 mln dolarów przewidzianej w kredycie amerykańskim na zakup środków do produkcji przemysłu spożywczego uzyskał kwotę 2,890 tys. dolarów.

Suma ta została wykorzystana na zakup takich maszyn i urządzeń, które pozwolą zwiększyć i polepszyć produkcję artykułów spożywczych zarówno na potrzeby rynku wewnętrznego jak i na eksport.

Jubileuszowy rejs  
„BATOREGO”

DO GDYNI zawiązał 5 bm. w godzinach rannych z kolejnego, 10 rejsu do Kanady, nasz transatlantyk m/s „Batory” wiozący na pokładzie ponad 400 pasażerów. Obecny rejs zamyka okres rocznej eksploatacji statku na linii regularnej Gdynia — Montreal (Kanada), w ciągu której uzyskał on łączny wpływ w wysokości 2,890 tys. dolarów. Do końca bieżącego roku „Batory” wykona jeszcze 3 rejsy do Kanady.

Święto  
Tarnowskich  
Gór

Dzisiaj rozpoczynają się w Tarnowskich Górach tradycyjne „Dni Tarnowskich Górków”, które trwać będą do 9 bm.

Program „Dni” przewiduje między innymi pochód gwarków i rzemieślników, króla Jana Sobieskiego i Marysienki, legendarnego chłopca Rybki i Skarbnika wojak polskich i szwedzkich.

W czasie „Dni” wystąpią m. in. zespoły: „Olza” z Czechosławii, „Podhale” z Zakopanego, „Warmia i Mazury”, Państwowy Teatr Zagłębia z Sosnowca i wiele innych.

W dniach 6 — 9 bm. odbędzie się także Wielki Jarmark Śląski.

Czynne będą w tym czasie wystawy: dokumentów z XVII w., zbiorów ziemi tarasowej, zbiorów filatelistycznych i inne.

Z okazji „Dni Tarnowskich Górków” popularny rydwan „Gwarek” ukazał się w postaci obrotowej i pięknej szacie graficznej. W rydwanie znajduje się szereg ciekawych artykułów historycznych i społecznych: pisma: Bolesława Lubosza, Norberta Kola, Kazimierza Kałusa, Leszka Proszkowskiego i Wilhelma Skrzypczaka.

Na „Dni Tarnowskich Górków” przyjadą goście z całego kraju i z zagranicy. Komitet Wykonawczy „Dni Tarnowskich Górków” serdecznie zaprasza wszystkich do odwiedzenia Tarnowskich Gór.

## Tow. Franciszek Fojcik

3 września śmierć wyrwała z naszego życia Tow. Franciszka Fojcika, którego bogate życie na długo pozostało w naszej pamięci i długo służyć będzie jako wzór do naśladowania.

Tow. Franciszek Fojcik urodził się 17 września 1902 r. w Zabrze w rodzinie robotniczej. Mając 15 lat rozpoczął pracę zarobkową w kopalni „Ludwik”.

Po plebiscyście i III Powstaniu Śląskim przeniósł się do Katowic i rozpoczął pracę w kopalni „Kleofas”. Warunki pracy są trudne i praca niełatwa, toteż Tow. Franciszek zdecydował się emigrować w poszukiwaniu pracy do Francji gdzie w latach 1923 — 25 pracuje w różnych przedsiębiorstwach węglowych. Tu we Francji krystalizuje się jego światopogląd rewolucyjny. Jeszcze w kraju zetknął się z tym ruchem, brał udział w powstaniu, organizował ruch strajkowy.

We Francji wstępuje do Komunistycznej Partii Francji, bierze udział w strajkach, za co zostaje aresztowany, skazany na więzienie, a następnie wydalony z Francji. Po powrocie do kraju od 1926 — 32 roku pracuje na

kop. „Kleofas”, następnie zaś lata, aż do wybuchu II wojny światowej, jest bezrobotnym. Zaraz po powrocie do kraju wstępuje do KZMP, a następnie do KPP, z ramienia której bierze udział w organizowaniu strajków, manifestacji antywojennych i antyfaszystowskich.

Okupacja rozpoczęła się dla Tow. Franciszka Fojcika wywiezieniem na roboty przymusowe do Westfalii, gdzie nie ustaje w propagowaniu wywiezieniu. Zostaje osadzony na pewien czas w obozie w Kwidzynie, a następnie wcielony do armii niemieckiej. Tow. Fojcik szybko decyduje się i wybiera ucieczkę do partyzantki greckiej gdzie walczy aż do 1945 roku.

Po zakończeniu wojny w grudniu 1945 roku wraca wraz z oddziałami Wojska Polskiego z Zachodu do kraju. Zostaje skierowany do pracy w ucie „Baldoni”, a następnie od 1947 r. w kop. „Kleofas”. W 1947 roku wstępuje do Polskiej Partii Robotniczej, bierze czynny udział w pracy partyjnej w czasie referendum i wyborów do Sejmu Ustawodawczego. Jako wybijający się w pracy zostaje skierowany do pracy w Związku Zawodowym Górników. Ponownie wraca do pracy w kopalni, jest wzorowym i oddanym górnikiem. Nie uchyla się od pracy pomimo, że trawi się ciężką chorobą.

Ideę proletariacką, którą poznał i pokochał za młodu reprezentował godnie zawsze i wszędzie aż do ostatnich dni swego życia.

Został odznaczony srebrnym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W Zmarłym trwałymi wyprowadzonymi w sprawie socjalizmu bojownika.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI

20 „piątek”  
w „Karolinie”

„Karolinka” zawiadoma, że w wyniku sprawdzenia kuponów nor malnych zgłoszonych oraz kuponów ulgowych z losowaniem dodatkowego 87 gry stwierdzono 20 wygranych z 5-ma trafieniami.

Wygrana pojedyncza wynosi 7,907 zł

Wygrane padły na następujące numery kuponów: 891210 (13), 267599 (10), 446256 (37), 670970 (46), 245971 (52), 280743 (76), 753360 (112), 758567 (112), 722944 (117), 97995 (138), 250821 (153), 690667 (160), 804256 (167), 806619 (189), 95081 (198), 870653 (231), 886104 (271), 7892813 (274), 7919175 (275), 4760891 (304).

Z losowania na domok stwierdzono 6 wygranych z 5-ma trafieniami, a 40 numerów wygranych kuponów:

257336 (49), 2386901 (83), 8742280 (83), 9422851 (182), 3228414 (187), 5248180 (233), 9422851 (182), 3228414 (187), 5248180 (233).

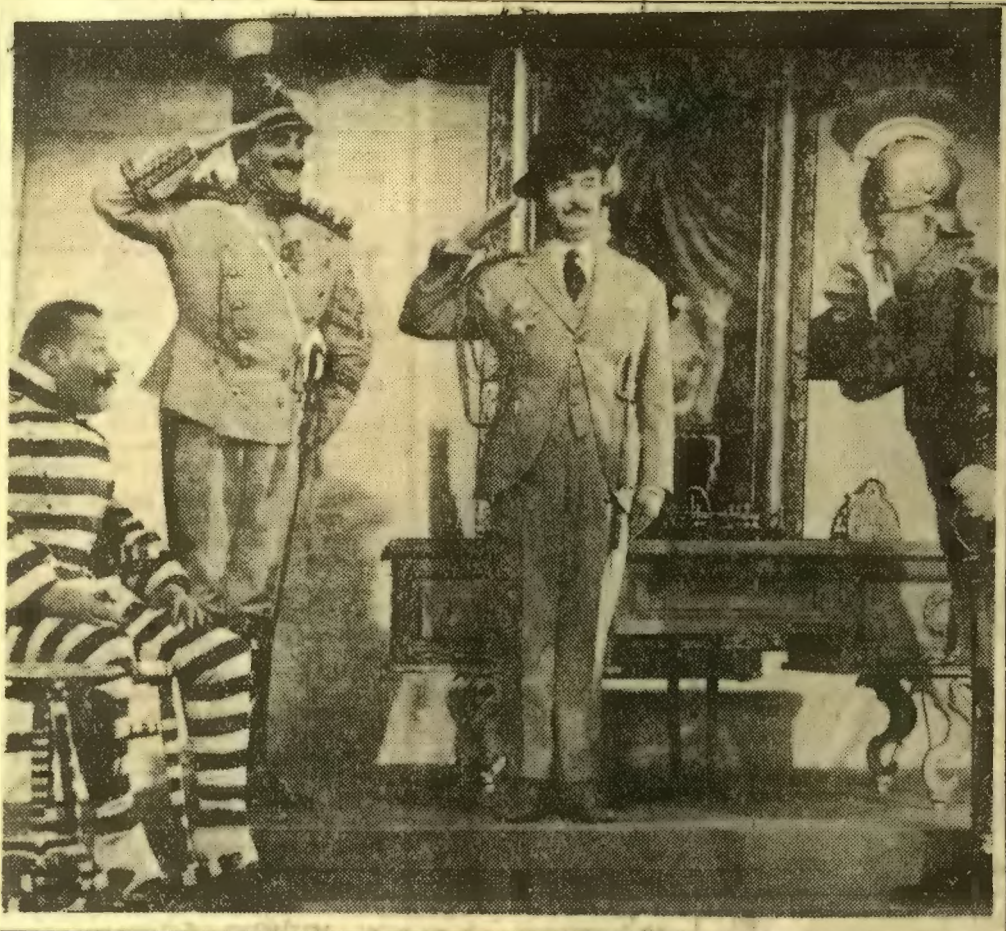
Posiadacze 3 trafień wygrali udział w losowaniu domu w dniu 5. 10. br.

Dnia 3 września 1958 r. zmarł po krótkiej chorobie  
tow. Franciszek FOJCIK

górnik kop. „Kleofas” w Katowicach  
b. członek KPP, KZMP, KPP i PPR, członek KM PZPR odznaczony srebrnym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W Zmarłym trwałymi wyprowadzonymi w sprawie socjalizmu bojownika.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI

KOMITET MIEJSKI PZPR  
w Katowicach24  
godziny  
za granicą

SEKRETARZ GENERALNY ONZ Dag Hammarskjöld przeprowadził wczoraj rozmowę z prezydentem Nasserem. Poprzednio Hammarskjöld spotkał się z ministrem spraw zagranicznych ZRA Fawzim.

ROZGŁOSZONA BUDAPESTENSKA podaje, że rząd węgierski przekazał nową notę dla posłaństwa Szwajcarii w Paryżu, w której protestuje przeciwko napadom na poselstwo Węgierskiej Republiki Ludowej w Bernie, które miało miejsce przed kilkoma tygodniami.

PREMIER W. BRYTANII H. Macmillan, zapowiedział premiera Ja pomini, aby przyszył wrotore z wyzła do Anglii.

ZWIĄZEK RADZIECKI wyraził gotowość udzielenia pomocy na mocy finansowej i technicznej, ale nie przyszył wrotore z wyzła do Anglii.

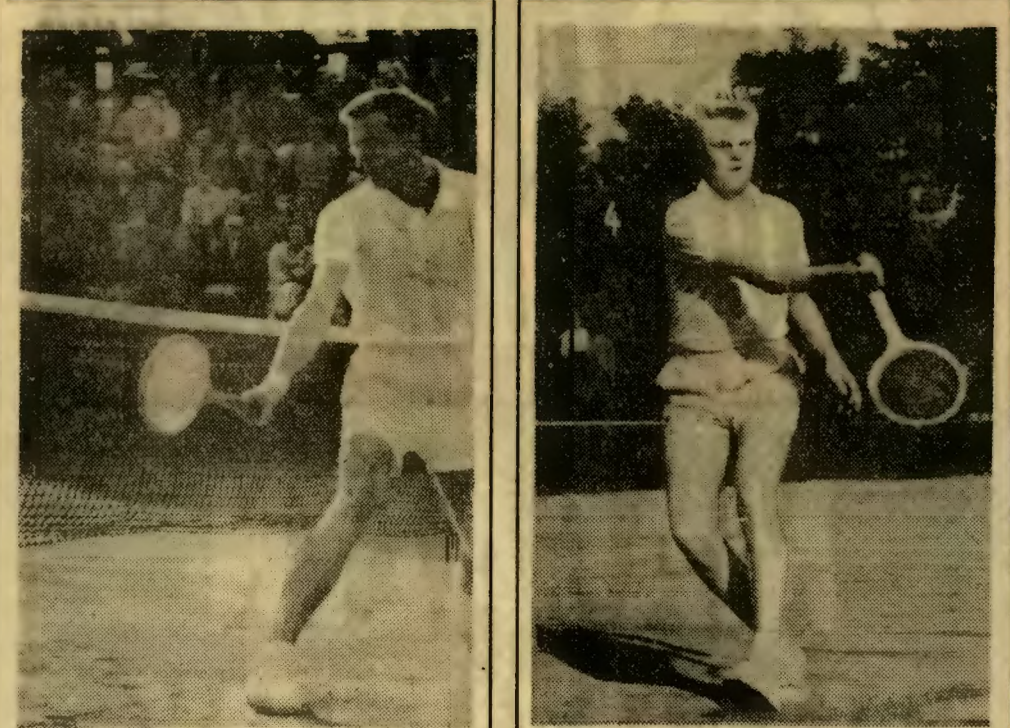
W NOCY z środy na czwartek grupa napastników faszystowskich dokonała zamachu na lokal sekcji FPK w miejscowości Suwigny — Sar — Orga (departament Seine — i — Oise). Eksplozja podłożonych materiałów wybuchowych spowodowała znaczne szkody materialne.

NA LOTNISKO paręce Bourget przybędzie 12 bm. ołbrzymi pasażerski „Boeing 707”. Jest to czterostopniowy samolot odrzutowy, który w końcu października ma rozpocząć normalne loty na linii Nowy Jork — Paryż. Trasę te będzie przebywał w ciągu 7,5 godziny, podczas gdy obecnie najszybsze samoloty pokonują ją w ciągu ok. 11 godzin.

Pokazy lotnicze  
w Strzemieszycach Małych

Z okazji Święta Lotnictwa Aeroklub Śląski organizuje w niedzielę 10 września o godz. 12.30 pokazy lotnicze w Małych Strzemieszycach — na polach spadochroni. Aeroklub Śląski zaprasza na powyższe imprezę miłośników sportu lotniczego miast Strzemieszyc i okolicznych wiosek.

ROZWIĄZANIE ZE STR. 1  
1) b) 2) a) 3) a) 4) b) 5) a) 6) b) 7) a) 8) b) 9) a) 10) b) 11) a) 12) b) 13) a) 14) b) 15) a) 16) b) 17) a) 18) b) 19) a) 20) b) 21) a) 22) b) 23) a) 24) b) 25) a) 26) b) 27) a) 28) b) 29) a) 30) b) 31) a) 32) b) 33) a) 34) b) 35) a) 36) b) 37) a) 38) b) 39) a) 40) b) 41) a) 42) b) 43) a) 44) b) 45) a) 46) b) 47) a) 48) b) 49) a) 50) b) 51) a) 52) b) 53) a) 54) b) 55) a) 56) b) 57) a) 58) b) 59) a) 60) b) 61) a) 62) b) 63) a) 64) b) 65) a) 66) b) 67) a) 68) b) 69) a) 70) b) 71) a) 72) b) 73) a) 74) b) 75) a) 76) b) 77) a) 78) b) 79) a) 80) b) 81) a) 82) b) 83) a) 84) b) 85) a) 86) b) 87) a) 88) b) 89) a) 90) b) 91) a) 92) b) 93) a) 94) b) 95) a) 96) b) 97) a) 98) b) 99) a) 100) b)



Mistrz Czechosławii Javorsky

Trzeci rakieta Szwecji Lundquist

Javorsky czy Lundquist?  
— w finale mistrzostw ...Polski  
Skonecki i Llamas nie mieli wczoraj nic do powiedzenia

W finale gry pojedynczej międzynarodowych tenisowych mistrzostw Polski spotkają się jutro: mistrz Czechosławii Javorsky z trzecią rakieta Szwecji Lundquistem. Pierwszy wywiniął wczoraj Skonecki 6:1, 6:3, 6:4, drugi wygrał z Llamasem (Meksyk) 6:2, 7:5, 3:6, 6:2.

Dla przemysłu spożywczego.  
Zakupiliśmy w USA  
urządzenia  
na sumę 2,8 mln dolarów

WARSZAWA (PAP)

Po kilkunastogodniowym pobycie w USA powrócił do kraju delegacja przemysłu spożywczego. Dokonała ona wyboru i zawarła umowy na dostawę maszyn i urządzeń dla tego przemysłu w ramach kredytów uzyskanych na zakup urządzeń inwestycyjnych w polsko-amerykańskiej umowie gospodarczej, zawartej w lutym br.

Suma ta została wykorzystana na zakup takich maszyn i urządzeń, które pozwolą zwiększyć i polepszyć produkcję artykułów spożywczych zarówno na potrzeby rynku wewnętrznego jak i na eksport.

„Upiór  
Częstochowy”  
— schwytany

Funkcjonariusze Komendy MO w Raciborzu zatrzymali groźnego bandytę Tadeusza Nabrądkę, zwanego „Upiorem Częstochowskim”. Tadeusz Nabrądkę wraz ze swoimi kompanami — Jerzym Zielińskim i Zygmuntem Gieslerem do końca lat 1944—1955 w Częstochowie i okolicy kilkunastu napadów rabunkowych z bronią w ręku na sklepy uspołecznione oraz na mieszkaniach kupców i rzemieślników. Bandzi nie zadowalali się rabunkiem, lecz zgnęli się w sposób bestialski nad swoimi ofiarami i dopuszczali się zwalów. Schwytani w r. 1956 staneli przed sądem przy czym Zieliński oskarżony o 12 lat, a Giesler 12 lat więzienia. Natomiast Nabrądkę, który podczas rozprawy symbolował niepokojem, został oskarżony o obserwację do rzutu i przewożenia w Rybniku Gł. lekarza stwierdził „pełnie władz ustosunkowy” i wyrok w sprawie Nabrądkę i Gieslerów. Nabrądkę wyrok w sprawie Nabrądkę i Gieslerów. Nabrądkę wyrok w sprawie Nabrądkę i Gieslerów.

Wojewódzki Parku Kultury i Wypoczynku (duży karykatury) w dniu 7 września br. o godz. 12 wystąpił Państwowy Zespół Tańca pod kierunkiem E. Papilńskiego. W razie niepogody występ odbędzie się w Hall Parkowy w Katowicach o godz. 18. Bilety do nabycia w dniu imprezy w kasach wokół kręgu wędzelników w kasach Hall Parkowej.

Polski Zespół Tańca  
w WPK i W

Wojewódzki Parku Kultury i Wypoczynku (duży karykatury) w dniu 7 września br. o godz. 12 wystąpił Państwowy Zespół Tańca pod kierunkiem E. Papilńskiego. W razie niepogody występ odbędzie się w Hall Parkowy w Katowicach o godz. 18. Bilety do nabycia w dniu imprezy w kasach wokół kręgu wędzelników w kasach Hall Parkowej.

Nawet po kalendarzyku sportowym można znaleźć wiele ciekawych informacji. Przeglądając kalendarz sportowy można znaleźć wiele ciekawych informacji. Przeglądając kalendarz sportowy można znaleźć wiele ciekawych informacji.

Kalendarz sportowy  
Prawa: Gliwice — Wawel Kraków. Spotkania drużyn gimnastycznych przełożone zostały, z uwagi na wyjazd górników do ZSRR. O godzinie 19.00: Legia Warszawa — Stal Rzeszów — Stal Mielec. Na inaugurację mistrzostw ligi bokserskiej, mamy wczoraj „mecz sezonu”. BOTS Bielsko — Legia Warszawa. Spotkanie odbędzie się na ringu BOTS w Bielsku, w sobotę.

Trybuna wokół centralnego kortu pokaży wczoraj od nadmiaru publiczności. Po długich latach po suchy impet, tenisowych zawodów kalibru, katowicki publiczność dała wczoraj dowód, że pozostała tenisowi wierna. Niestety, spotkała ją rozczarowanie o tyle, że nie było jej dane oglądać zwycięstwa Władysława Skoneckiego, jedynego naszego tenisisty, który musiał się doznać porażki z tym, co zaprezentował podczas pucharowego spotkania Polska — Meksyk w Warszawie. Wydał nam się w piątek dziwnie oczekujący, słaby kondycyjnie. Nie grał do końca, nie wychodził mu „passing-shoty”, ani skróty.

Drugi set trwał pół godziny, przyniosąc grę już bardziej wyważoną. Szwed był jednak nadal stroną przeważającą, to on dyktował grę, włączając we właściwe momenty (przy stanie 3:1, a później 5:4 dla Llamasa) „czwarty bieg”, za pierwszym razem, Lundquist zagarnął drugiego seta 7:5.

Humorystyczne wstawki  
Na trybunach puszczone już plotki, że Llamas nie jest zainteresowany w odniesieniu zwycięstwa, przeto, bandzi użył zła go porażka, gdyż chce już w sobotę wieczorem wyjechać do Contreras z Katowic, aby w niedzielę odwiedzić Warszawę i Amsterdum do Kanady, na mistrzostwa w Toronto. Zapytaliśmy się więc organizatorów, na kogo wykupiono Meksykańskom bilety, odpowiedź brzmiała: na Llamasa. Szwed był jednak nadal stroną przeważającą, to on dyktował grę, włączając we właściwe momenty (przy stanie 3:1, a później 5:4 dla Llamasa) „czwarty bieg”, za pierwszym razem, Lundquist zagarnął drugiego seta 7:5.

Humorystyczne wstawki  
Na trybunach puszczone już plotki, że Llamas nie jest zainteresowany w odniesieniu zwycięstwa, przeto, bandzi użył zła go porażka, gdyż chce już w sobotę wieczorem wyjechać do Contreras z Katowic, aby w niedzielę odwiedzić Warszawę i Amsterdum do Kanady, na mistrzostwa w Toronto. Zapytaliśmy się więc organizatorów, na kogo wykupiono Meksykańskom bilety, odpowiedź brzmiała: na Llamasa. Szwed był jednak nadal stroną przeważającą, to on dyktował grę, włączając we właściwe momenty (przy stanie 3:1, a później 5:4 dla Llamasa) „czwarty bieg”, za pierwszym razem, Lundquist zagarnął drugiego seta 7:5.

Humorystyczne wstawki  
Na trybunach puszczone już plotki, że Llamas nie jest zainteresowany w odniesieniu zwycięstwa, przeto, bandzi użył zła go porażka, gdyż chce już w sobotę wieczorem wyjechać do Contreras z Katowic, aby w niedzielę odwiedzić Warszawę i Amsterdum do Kanady, na mistrzostwa w Toronto. Zapytaliśmy się więc organizatorów, na kogo wykupiono Meksykańskom bilety, odpowiedź brzmiała: na Llamasa. Szwed był jednak nadal stroną przeważającą, to on dyktował grę, włączając we właściwe momenty (przy stanie 3:1, a później 5:4 dla Llamasa) „czwarty bieg”, za pierwszym razem, Lundquist zagarnął drugiego seta 7:5.

Humorystyczne wstawki  
Na trybunach puszczone już plotki, że Llamas nie jest zainteresowany w odniesieniu zwycięstwa, przeto, bandzi użył zła go porażka, gdyż chce już w sobotę wieczorem wyjechać do Contreras z Katowic, aby w niedzielę odwiedzić Warszawę i Amsterdum do Kanady, na mistrzostwa w Toronto. Zapytaliśmy się więc organizatorów, na kogo wykupiono Meksykańskom bilety, odpowiedź brzmiała: na Llamasa. Szwed był jednak nadal stroną przeważającą, to on dyktował grę, włączając we właściwe momenty (przy stanie 3:1, a później 5:4 dla Llamasa) „czwarty bieg”, za pierwszym razem, Lundquist zagarnął drugiego seta 7:5.

Humorystyczne wstawki  
Na trybunach puszczone już plotki, że Llamas nie jest zainteresowany w odniesieniu zwycięstwa, przeto, bandzi użył zła go porażka, gdyż chce już w sobotę wieczorem wyjechać do Contreras z Katowic, aby w niedzielę odwiedzić Warszawę i Amsterdum do Kanady, na mistrzostwa w Toronto. Zapytaliśmy się więc organizatorów, na kogo wykupiono Meksykańskom bilety, odpowiedź brzmiała: na Llamasa. Szwed był jednak nadal stroną przeważającą, to on dyktował grę, włączając we właściwe momenty (przy stanie 3:1, a później 5:4 dla Llamasa) „czwarty bieg”, za pierwszym razem, Lundquist zagarnął drugiego seta 7:5.

Humorystyczne wstawki  
Na trybunach puszczone już plotki, że Llamas nie jest zainteresowany w odniesieniu zwycięstwa, przeto, bandzi użył zła go porażka, gdyż chce już w sobotę wieczorem wyjechać do Contreras z Katowic, aby w niedzielę odwiedzić Warszawę i Amsterdum do Kanady, na mistrzostwa w Toronto. Zapytaliśmy się więc organizatorów, na kogo wykupiono Meksykańskom bilety, odpowiedź brzmiała: na Llamasa. Szwed był jednak nadal stroną przeważającą, to on dyktował grę, włączając we właściwe momenty (przy stanie 3:1, a później 5:4 dla Llamasa) „czwarty bieg”, za pierwszym razem, Lundquist zagarnął drugiego seta 7:5.

Humorystyczne wstawki  
Na trybunach puszczone już plotki, że Llamas nie jest zainteresowany w odniesieniu zwycięstwa, przeto, bandzi użył zła go porażka, gdyż chce już w sobotę wieczorem wyjechać do Contreras z Katowic, aby w niedzielę odwiedzić Warszawę i Amsterdum do Kanady, na mistrzostwa w Toronto. Zapytaliśmy się więc organizatorów, na kogo wykupiono Meksykańskom bilety, odpowiedź brzmiała: na Llamasa. Szwed był jednak nadal stroną przeważającą, to on dyktował grę, włączając we właściwe momenty (przy stanie 3:1, a później 5:4 dla Llamasa) „czwarty bieg”, za pierwszym razem, Lundquist zagarnął drugiego seta 7:5.

Humorystyczne wstawki  
Na trybunach puszczone już plotki, że Llamas nie jest zainteresowany w odniesieniu zwycięstwa, przeto, bandzi użył zła go porażka, gdyż chce już w sobotę wieczorem wyjechać do Contreras z Katowic, aby w niedzielę odwiedzić Warszawę i Amsterdum do Kanady, na mistrzostwa w Toronto. Zapytaliśmy się więc organizatorów, na kogo wykupiono Meksykańskom bilety, odpowiedź brzmiała: na Llamasa. Szwed był jednak nadal stroną przeważającą, to on dyktował grę, włączając we właściwe momenty (przy stanie 3:1, a później 5:4 dla Llamasa) „czwarty bieg”, za pierwszym razem, Lundquist zagarnął drugiego seta 7:5.







# „JEZDZCY PRZYPIŁY WU“ na WODACH PORABKI

**N**A DALEKICH Hawajach nazywano ich „jeźdźcami przypiływu“. Byli to brazylijscy kanakowie, którzy wypływali z deski dwumetrowej długości daleko, na kilka kilometrów w morze, czekali na przypływ, aby później na grzbiecie dużej fali, początkowo leżąc na desce, następnie klęcząc i wreszcie stojąc wyprostowani, sunąć do samego brzegu. Oni to byli ojcami nowego sportu, oni dali po-

cy (nazwijmy ich tak), jeźdźcą na deskach pochodzenia z granicznego względnie własnej domowej produkcji. Tymczasem jakoś nikt w Polsce nie wie o tym, że narciarstwo wodne od dwóch już lat zadomowiło się na dobre w Międzybrodziu i Porabce koło Bielska, a Bielskie Południowe Zakłady Sprzętu Sportowego dawno wyprodukowały wspaniałe narty i z-

stawiamy do przeglądu, jak i rodzimej produkcji, twierdzi, że na naszych deskach jeździ się lepiej niż na zagranicznych. Podobno wpływa na to znacznie ulepszony typ wiązań, które zaprojektowali nasi pracownicy.

**Dziennikarz:** No dobrze, ale 20 par to mało, serdecznie mało! Rozeszły się chyba w mig...

**Inż. Buchta:** Bynajmniej. Wszystkie znajdują się jeszcze w naszym magazynie i czeka ją na nabywców, którzy się nie zgłaszają. Narty nasze były na Targach Poznańskich, ale nie wykazywały zainteresowania ani hurtownie sprzętu sportowego, ani też zreszta. W jesieni jadę prywatnie do Szkocji i zabiorę jedną parę desek. Chyba zainteresują się nimi nabywcy zagraniczni, bo nasze narty są tańsze i co najmniej tak samo dobre.

Możemy w każdej chwili wyprodukować 1000 par nart wodnych, czekamy tylko na zamówienie. Gdy nie będzie zamówień, będziemy musieli wstrzymać ich fabrykację, bo chwilowo jeżdżą na nich tylko członkowie naszego przy-fabrycznego koła sportowego i zawodnicy bielskiego „Startu“, których trenuje zresztą inżynier Fijak.

**Dziennikarz:** Gdzie leżą trudności w rozpowszechnianiu tego sportu?

**Inż. Fijak:** W braku motorówek i w braku inicjatywy zreszta. Narty nasze kosztują chwilowo 1400 zł, przy większej serii produkcyjnej cena wynosiłaby 1000 — 1200 zł, a tyle przecież płaci się za dobre narty jazdowe. Jako instruktor narciarski uważam, że narty wodne są świetną zaprawą dla każdego zjazdowca, a tego się niestety u nas nie docenia...

**Dziennikarz:** Bylem niedawno w Szkocji. Widziałem, jak niezwykle popularne jest tam narciarstwo wodne. Taki Spittal of Glenshee, to przecież małe miasteczko górskie nad małym jeziorkiem, masowo odwiedzane przez turystów z Anglii i kontynentu, która odkryta została dopiero na dobre, kiedy tamtejszy hotelarz wprowadził narty wodne na jezioro. Przecież i u nas...

**Inż. Buchta:** Znam Spittala of Glenshee i mogę stwierdzić, że nasza Porabka i Międzybrodzie są bardziej uroczyste.

A więc? Trzeba było koniecznie pojechać do Porabki na narty wodne.

**PORABKA** jest cudna i po podróży zagranicznych stwierdza się ze wstydem, że był tu człowiek po raz ostatni przed... 18 laty. Tak, tak, cudze chwaleć... Oczywiście wyobraźni wi-

dzi piękne, nowoczesne ośrodki sportów wodnych nad jeziorem, nowe hotele, turystów z całego kontynentu, omokających z zachwytem nad pięknymi widokami, widzi na jeziorze pędzące motorówki i narciarzy, rowery wodne, kajaki, żaglówki. Sam zaczyna marzyć o karierze kienarownika takiego ośrodka...

Tymczasem na jeziorze rozpedziła się jedna tylko motorówka, holując inżyniera Fijaka. Pan Kazimierz zwija się jak baletnica na wodzie, zatacza wymyślne pętle, wpada raz po raz w karkołomny wertykal, skacze niby delfin przez fale, by po chwili, lekko cupnawszy, wzbijać bajecznie kolorowe w świetle słońca fontanny wody. Lekko zdyszany przybija do brzegu, żaląc się nieco:

— Tylko 40 na godzinę. Więcej motorówka nie wyciąga.

Obok nas stają motorowodniacy. Są tak zachwyceni, że przyrzekają przywieźć prawdziwego GAD-a na Porabkę, byle im dać pojeździć na nartach. Deski przypinają teraz zawodnicy Startu — Ryszard Wierczok i Ireneusz Wojciech. Ho, ho, tu dopiero widać, że narty wodne, to nie zupełnie łatwy sport. Kropią się raz po raz, zrywają zimnej kąpieli, a śmiechu jest co nie miara. Kropi się też Ryszard Pinczer, pracownik fabryki. Dziennikarz ma iży w oczach, tak krzusił się śmiechem, podobnie zresztą jak spora grupka widzów i żeglazów, która przystanęła nad brzegiem.

— A może pan spróbuje, redaktorze? — pada pytanie w najbardziej zabawnym momencie.

Wyobraźcie sobie te wszystkie rozśmiane gęby i drwiące spojrzenia skierowane na głę wprost na wesołe oblicze dziennikarza. Czy można się w takiej sytuacji uchylić od próby?

Mam już deski na stopach, a stopy we wodzie. Siedzę na pomoście, który pod moim ciężarem (80 kg) pochyla się lekko ku wodzie. Kurczowo trzymam w dłoniach drewniany knebel, do którego przytwierdzona jest linka. Odczuwam potężne pociągnięcie w przód i... nagle jestem już pod powierzchnią wody. Złamałem solidny knebel. Przytonię mi inny, grubość małej sosny. Teraz już startuję z wody. Znowu jakaś ogromna moc wyciąga mnie z kotła smoły (przenośnia), odczuwam ogromny ucisk na nogi, prostuję je z trudem, pęczę już dwadzieścia, trzydzieści metrów, prostuję ręce i... No tak, ten wybuch wesołości na brzegu słyszałem pod wodą. Nie wolno rezygnować. Tym razem odczuwam start inaczey: najpierw jakiś ogromny ciężar przygniata mi nogi, piersi i brzuch, później czuję się jak korek przytrzymany pod wodą i naraz puszczony w górę. Pęczę, pęczę, motorówka zatacza koło, cudowne grzebienie fal wabiają do skoku, zbliżam się do nich po przekątnej, tracę szybkość...

— Ma pan już dość? — pyta inż. Fijak podając linkę.

— Start! — rzyczę w odpowiedzi.

Zmęczony, wykapany, mknę znowu po tafli jeziora. Wierzę mi, cudowne to uczucie!

Pęczę zrywką, skromnym szusem i krzyczę, aby mnie cała Polska słyszała:

— Zamawiajcie narty wodne, urządźcie nam kilka ośrodków narciarstwa wodnego, obrzydźcie nam Kasprowy las, chcemy pędzić przez jeziora z wiatrem w zawody. Bo jak całą naszą produkcję nart wodnych zakupi Szkocja, szlag mnie trafi ze złości.

JAN NOGAJ



Z toni jeziora wynurza się przy starcie Ryszard Pinczer

## MOTOCROSS ZDOBYWA ŚLĄSK

**W**ARKOT maszyn był tak duży, że nie słychać było nawet głosu sąsiada, który coś wykrykiwał mi do ucha. Wreszcie chorągiewka w białej czarnej szachownicy pojechała w dół, zawodnicy ruszyli ze startu! Teraz na pełny gaz, bo do piaskowatego wznieślenia jakieś 100 m, a na szczycie miejsce najwyższe dla dwóch maszyn jadących obok, podczas gdy wystartowało przecież sześćnaście motocykli. Czechosłowak Czizek już jest pierwszy, za nim dwaj Szwedzi i Polak Zurawiecki. Z górki łagodny zjazd serpentyną w dół po trawiastej pralce... skok przez rów z wodą, znowu podjazd pod może 40-metrowe wznieślenie, na gorze skok 2 — 3 metry i znowu w dół — w górę i w dół! Znowu „przeskok“ przez wodę, seria „dziur“ — i zawodnicy mają za sobą pierwsze okrzyknięcie...

Takich okrzyknięć na między narodowym motocrósie pod Zabrzkiem „Coupe d'Europe“, zawodnicy musieli przejechać 30, pokonując dystans 45 km drogi — po której nie każdy odważyłby się chodzić piechotą, by nogi nie skreślić, a konkurujący o nagrodę rai dowcy, pokonywali kilometr za kilometr z szybkością ponad 40 km na godzinę! Maszyny jęczały z wysiłku, zawodnicy w tym istnym labiryncie przeszkód i trudności, dokonywali cudów zręczności, a publiczność — na ogół opanowana i krytyczna — wrzeszczała z emocji! Zawody się już dawno zakończyły, rozdzielono nagrody, złozone, Cziekowemu gratulacje za zdobycie tytułu mistrza Europy, a Zurawieckiemu — zwycięzcy głównego wyścigu zawodów, wręczono piękny puchar „Trybuny Robotniczej“.



częli. Publiczność nie opanowała miejsc, chciała z bliska zobaczyć mistrzów, oglądać maszyny. Motocross się podobnie, ta nowa dyscyplina sportu zdobyła sobie u nas zwolenników.

Motocross — wyścigi przełajowe w terenie najczystym trudności naturalnymi — zrodziły się nie tak stosunkowo dawno, jeśli weźmiemy pod uwagę rodowody innych galezi sportu. W latach po-

pierwszej wojnie światowej żołnierze angielscy w formie treningu motocyklowego w terenie znaleźli sposób doskonałego awion umiejętności. Trening przekształcił się w zawody, te zaś zdobywały sobie zwolenników w różnych krajach i w ten sposób od angielskich żołnierzy „zaraziła“ się crossami cała Europa. W Polsce początki tej dziedziny sportu notujemy w roku 1929, kiedy to w majątku ku twórcy raidu tatrzańskich — Jurkowskiego, przeprowadzono pierwszy taki wyścig. W rok później Klub Motocyklowy Szopienice organizuje na Śląsku tzw. „Raid przez haldy“. Prawdziwy rozwój imprez motocyklowych notujemy w latach pięćdziesiątych, a pierwsze mistrzostwa Polski przeprowadzono w roku 1955.

Lata pięćdziesiąte przyniosły również na Zachodzie wielki rozwój crossów, FIM (Międzynarodowa Federacja Motorowa), wprowadza w 1952 roku rozgrywki o tytuł indywidualnego mistrza Europy w klasie do 500 cm<sup>3</sup>, który w 1956 roku zmieniono na tytuł mistrza świata. W ub. roku wprowadzono eliminacje do „Coupe d'Europe“, który zdobywać można tylko w kategorii maszyn 250 cm<sup>3</sup>. Zesłorocznym zwycięzcą został Niemiec Betzelbacher, zaś w tym roku na torze pod Zabrzkiem oklaskiwaliśmy nowego mistrza Europy — Czechosłowaka Czieka, który wprawdzie w ostatniej — 12 eliminacji, przegrał z naszym Zurawieckim, jednak już poprzednio zapewnił sobie mistrzowski tytuł!

Foto W. Wawrzynkiewicz

## KRZESEŁKIEM na SKRZYCZNE

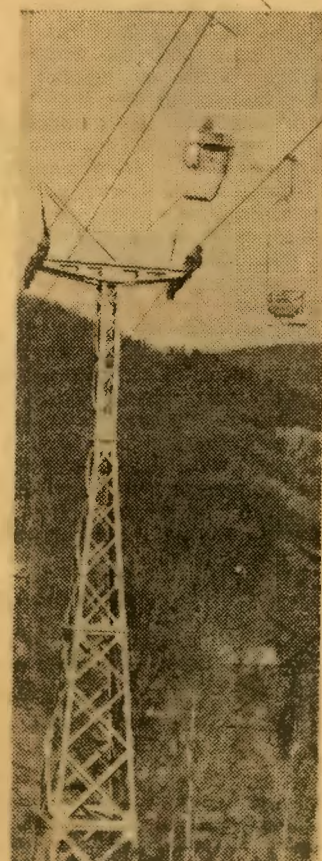
**N**iechym magnetyczny przyciąga turystów wyciąg linowy na Skrzyczne. Wprawdzie czynny jest tylko pierwszy odcinek, mimo to frekwencja jest olbrzymia. Od 26 stycznia, od chwili uruchomienia wyciągu — korzystało z jego usług ponad 120 tys. osób i chociaż większość z nich rezygnowała z powtórnej wyprawy do Szczyrku mając w pamięci trudności ze spożyciem obiadu, poszukiwaniem za czkawką wody sodowej, kuflein piwa, nie mówiąc już o noclegu, który jest tutaj marzeniem — dalsi zwolennicy podniebnej podróży w krzeselku, ciągną „pięlgrymką“ do Perły Beskidów!

Bo kolejki — chociaż nie jest ona jeszcze wykończona — Szczyrk nie musi się wstydzć. Blisko 3 kilometrowy wyciąg, wzorowany jest na najprzedniejszych zagranicznych wzorach, chociaż wykonywany i montowany był w kraju. Temu też faktowi przypisuje się opóźnienia w oddaniu wyciągu do użytku, nie należy jednak zapominać, że dzięki temu oszczędzamy dewizy, co ważniejsze, poznajemy własne możliwości. Uchyliliśmy rąbką tajemnicy: już głośno mówi się o następnym wyciągu, który ma prowadzić na Klimczok, na Beskidku w zlinie czynny jest wyciąg narciarski, zaś działacze narciarscy przeba-

ja o kolejce na Skalkie, która mogłaby obsługiwać turystów jak również skoczków podjeżdżających na rozbieg skocznicy.

Ale są to plany na... lata. Tymczasem żyjemy budową wyciągu na Skrzyczne, który mimo kilku zapowiedzi nie został jeszcze całkowicie uruchomiony. Przeszkody wywołują ciągłe, oto przed kilkoma tygodniami zostaliśmy zaalarmowani wiadomością o wstrzymaniu prac przy realizacji drugiego odcinka. Jak wiadomo podniesienie kosztów na niektóre materiały budowlane Oczywiście przecena jest olbrzymim „problemem“, z którym przez dwa miesiące nie mogli uporać się budowniczowie. Energiczna interwencja dyrektora kolejki — DOJŁITKO, poskutkowała i obecne tempo prac na leży uważać za zadowalające.

Na całej trasie postawiono już podpory i oczekuje się teraz na linę nośną, której wykonawcą jest Zabrska Fabryka Lin i Drutów. Krzeselka produkowane są w Bielsku i pomać z nimi nie będzie kłopotów. Za to reorganizacja w Bielskim Przemysłowym Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Rudowniczych spędza sen z powiek dyrektora DOJŁITKO. Od tego przedsiębiorstwa uzależniona jest cała budowa, bowiem jest ono głównym wykonawcą.



Wyciąg krzesiolkowy na Skrzyczne

J. G.

czątek narciarstwa wodnemu. Dzisiaj ta dyscyplina sportu rozpowszechniła się bardzo w Ameryce i Europie. W skokach i slalomie wodnym odbywają się regularne mistrzostwa krajowe, Europy i świata.

Amerykanie ujęli u siebie pierwszy jeźdźców wodnych badał w r. 1911. Poprzednio słyszeli o nich tylko z opowiadania turystów, którzy zwiedzili Hawaje. Na Hawajach żył wtedy dwaj najlepsi pływacy świata, bracia Kahanamoku, z których starszy, Duke, był pierwszym człowiekiem pływającym „sejke“ w 60 sekund. Niezwykły to był sportowiec — pływając jak rekiny, potrafił waleczyć z rekinami, mając za brzoń długi nóż albo dzię, byli też mistrzami jazdy na fali, lub jak już Amerykanie nazwali — „surfing“. Kiedy bracia Kahanamoku przybyli na raz pierwszy na Florydę, musieli nie tylko w basenie pływackim dać pokaz swych umiejętności. Z polowania na rekiny zrezygnowano — trudno bowiem było znaleźć odpowiedni okaz i nakłonić go do pojedynku z Hawajczykami. Ale „surfing“... To brzo ba zobaczyć!

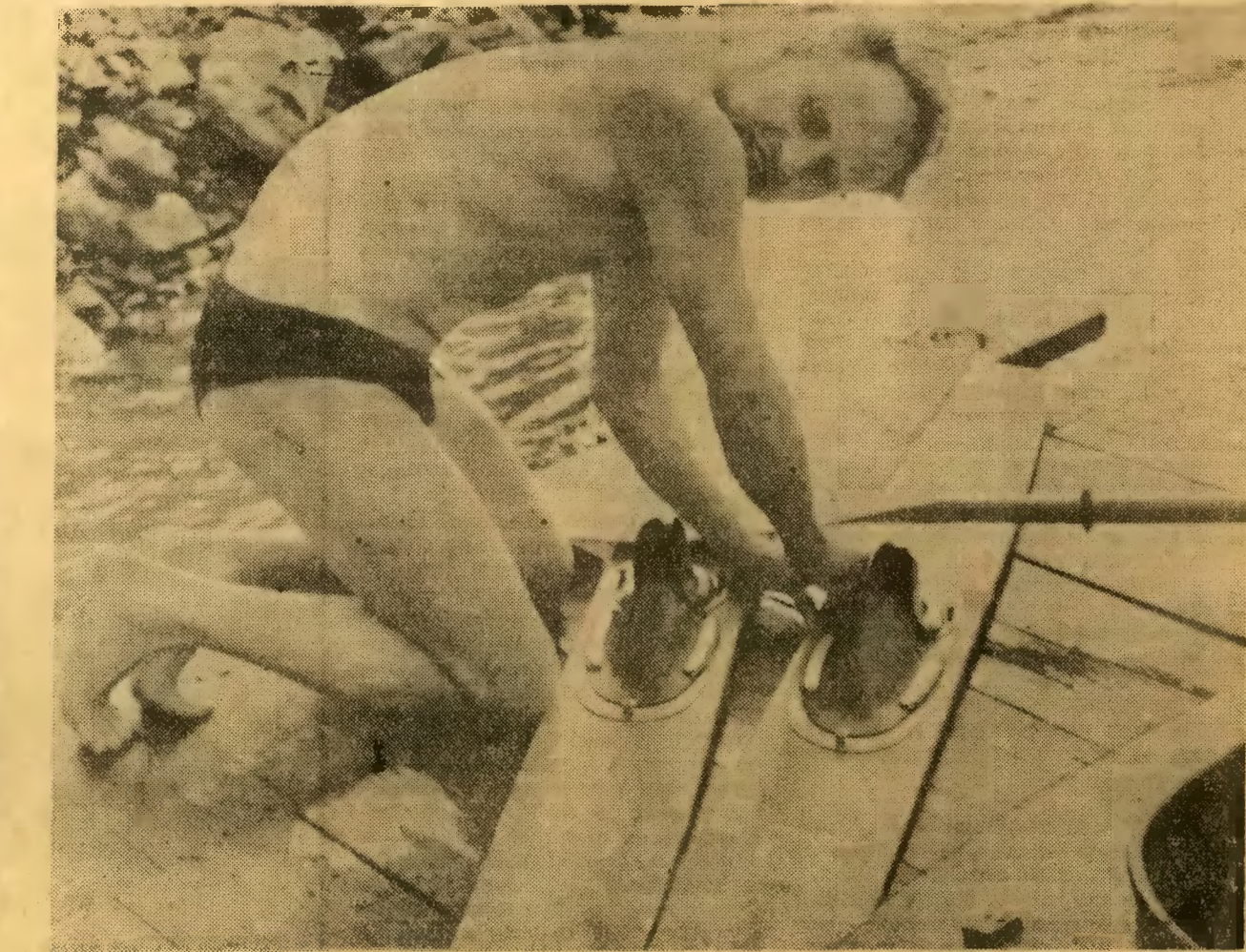
Na Atlantyku nie ma odpowiedniej fali przypływu — stwierdzili brawoskórzy olbrzymi.

— Okey, mamy świetne motorówki! — padła odpowiedź.

I tak po raz pierwszy dwumetrowe deski hawajskie znalazły się na holu motorówek, a świat poznał jeden z najbardziej atrakcyjnych sportów, jaki znamy. Podłużną deskę zastąpiły talerze, półmiski, jakiś zapalony narciarz nadal jej kształt szerokiej narty, inny za czął jeździć na dwóch nartach. Okazało się, że można na nartach wodnych wykonywać różne ewolucje i skoki, zorganizowano więc pod koniec lat trzydziśtych pierwsze zawody. A więc regularne wyścigi, gdzie zawodnicy urzyskiwali za motorówkami szybkość około 120 km. na godzinę. Do konkurencji weszły również slalom i skoki. Ulepszano wciąż konstrukcję nart, inżynierowie i praktycy sporo czasu spędzili nad różnymi obliczeniami, ale co tu dużo gadać — znaleźli się w końcu niedawni mistrzowie, którzy przy szybkości ponad 80 km/godz. potrafiли ostrożnie schodzić z desek i jeździć dalej na... własnych płetwach.

**D**ZISIAJ W SPORCIE tym celują Amerykanie, a w Europie Szwajcarzy, następnie Francuzi i Włosi. U nas w Polsce...

hm... Pisał niedawno „Przekrój“ o pierwszych próbach narciarstwa wodnych na jeziorze Roznowskim. Jak wynikało z załączonych zdjęć, narciarzy



Ulepszone typy wiązań sprawiają, że na naszych nartach lepiej się jeździ niż na zagranicznych — twierdzi inż. Fijak.

Fot. J. Nogaj





Młynskie koło w Brennej poruszane siłą wody potoku Jajny.

**W**ALKOWNIA Karola Urbasia z doliny Jajnego w Brennej tylko na oko przypomina młyn wodny. Ale ludzie przyzwyczaili się już do takiej nazwy tej ludowej fabryki sukna. Zwozili tu swe tkaniny na krosnach materiały z daleka, bo het tam gdzieś ze Szczyrku, Istebnej, Wisły, aby ubić je na filc przedniego gantunku, służący potem na guńcie i inne części męskiego stroju góralskiego. Czerdzieli lat folował Karol Urbas mie-

warsztatu... Będą musieli ludziska gonić chyba aż pod Bałogę Górę, gdzie jeszcze pracuje jakiś walkarz.

Było to w tym czasie, kiedy z trzosa brzoźowych związków zawodowych sypały się poważne sumy na dofinansowanie różnych zespołów regionalnych, których ambicją, zresztą słuszną, było pozyskanie oryginalnych strojów ludowych. Rodziły się też te zespoły jak grzyby po deszczu. Powstał wtedy taki zespół z wieloletniej dotacji row-

— A nawet jak postawia walkownię w Istebnej, kto będzie zamawiać sukno na guńcie, kłobuki, „wałaszczki”? Zespoły?... Dziś każdy woli welnę oddać na kontyngent. Ludzie nie dbają o starodawną. Wszystko napiera na nas, starych, abymy się wyzbyli strojów, które nosili nasi ojcowie i prapradziadkowie.

— Widzicie, Urbasiu — starałem się tłumaczyć — wszyscy ko się na świecie zmienia. To samo jest ze strojami.

— Czy ja tego nie rozumiem? — oburzył się na dobre. — Wy, pańszczyki, nie rozumiecie, myślicie, żeście wszyscy nie rozumiecie. Ja wiem, że czas wszystko zmienia. Ale wiem i to, że nam, góralom, trzeba starodawności w strojach i obyczajach szanować, a i nowemu iść na przeciw.

## ZASTYGŁO SERCE URBASIOWEGO MŁYNA

zkańcom Beskidu Śląskiego ich tkaniny. Jego warsztat folusznictwa był znany daleko i szeroko. Tylko jakoś mało się o nim pisało. Ale przed bodaj pięć laty znalazł się jakiś szperacz, który dotarł do doliny Jajnego, odsłukał Urbasia i ogłosił w gazecie, że „wspomniany zabytek, jedyny tego rodzaju w Beskidzie Śląskim, urządzenie znane w Polsce od tysięcy lat, skazane od niedawna na zniszczenie, podlegać będzie specjalnej ochronie, a na jego remont właściciel otrzyma poważną dotację”.

Zainteresowałem się wtedy i ja brennejską walkownią, o roku odwiedziłem Urbasia, dopytując go o losy jego „fabryki”. Ciężko czekał na dotację. A gdy wreszcie

niezłoty Istebnej. Ktoś z zaradniejszych górali pomyślał wówczas o walkowni. Rozpoczęły się pertraktacje z Urbasiem. Ale te koniunkturalne zapęły nie trwały długo. To też Urbas kiwał tylko z politowaniem głową i głosił uroczyste, że nie wystarczy tylko „pieniądze z góry”. Trzeba mieć w sobie umiłowanie swojej szczyzny.

— Model wziął od Istebnej. I dobrze się stało. Nie wymarł tam jeszcze obyczaj noszenia starogóralskich strojów. Są tam tacy ludzie, jak kierownik szkoły Franciszek Sikora, który też dbało o pielegnianie. Ale czy z folusza istebniańskiego coś będzie?... — martwił się Urbas.

Wyjeżdżałem zwykle po takich rozmowach z Urbasiem z uczuciem niedosytu.

Kiedy przyjechałem znów do Brennej przed dwoma laty, nie zastałem znowu folusznika przy jego warsztacie. Urbas już nie żył.

Spojrzałem na walkownię. Zastygła w bezruchu. Przestała być wielkie serce — koło, kiedy zabrakło Urbasia i jego twardego uporu. Czy ożyje jeszcze starodawny warsztat? Czy wody Jajnego będą jeszcze służyły, tak jak przed laty, do poruszania starej, ludowej fabryki, której pozostawili nam, jako zabytku, niejedyn kraj Europy? A może należałoby ją przenieść w całość, tak jak to się stało z foluszem podhalańskim z Jaworem koło Szczawnicy, do muzeum? A może wzbogacić nim park etnograficzny? Ej, chyba jeszcze nie czas. Zrosi się folusz brennejski z otoczeniem, jak wierzba przydrożna. Trudno byłoby góralom wyobrazić sobie dolinę Jajnego bez Urbasiowego „młyna”.

Niech więc jeszcze mieje, niech obraca się, niech ubija sukno po dawnemu!...

WŁADYSŁAW MOST



rzeczywiście przyszła pomoc z województwa, ożywiła się na nowo poczciwa walkownia. Uderzył znowu miarowym rytmem drewniane młoty.

I dawniej tłuł folusz cierpliwie, kudłata, surowa, krosniana materja, która pod wpływem tych uderzeń zmieniała się w przedni plisz. Wykołata nie przez lata pulsujące serce walkowni widocznie już jednak niedomagalo. Folusz zaczął się często, stękać, szarpać, a zdarzało się, że i zaniemógł. Ubijał nim jednak Urbas sukno, jak mógł, nasłuchiwał, na jak długo starczy mu jeszcze siły, co tam doklejał, dobijał, uzupełniał, aż do nowej awarii. Widać już jednak było, że są to ostatnie tchnienia w słonecznego warsztatu. Toteż po moc finansowa była dla Urbasiowego „młyna” prawdziwym wyzowaniem.

— Nie wiem tylko, kto będzie po mnie sukno walkował? — zwierzał mi się przęty ku ziemi Urbas. — Jestem już stary i schorowany, przyjdzie mi niedługo odejść...

— Nie bójcie się — uspokajałem go. — Wasza walkownia na pewno już będzie jeszcze bardzo długo.

Usmiechnął się do mnie i jakby sam medytując ze sobą, powoli wykulał nową myśl:

— Mówią, że są jeszcze inne walkownie? Gdzie?... Przyszli tu do mnie na naukę z Istebnej, przychodzili nawet z dalsza. Ale brakło im cierpliwości i może zamiłowania. Chciałem przekazać mój warsztat zleciowi. Ludwikowi Klósce. Chłop młody, zdrowy i zamiłowany w folusznictwie. Pisałem gdzie trzeba, ale odpowiedzieli: „Klóska nie ma skibi, nie może prowadzić. Powstał wtedy taki zespół z

## TELE-PROTECKI

„Inżynierowie radzili o pracowni już nowy typ odbornika telewizyjnego, przystosowanego do odbierania programów barwnych. Apaił ten swym kształtem zbliżony jest do znanego w Polsce odbornika telewizyjnego „Mik” z nieco tylko większym ekranem. Nowy typ telewizora produkowanego będą zakłady przemysłowe w Moskwie i Leningradzie. Na korzyść nowego systemu telewizji barwnej w związku z dzieckiem można zapisać fakt, że posiadacz zwykłego odbornika telewizyjnego, bez żadnych przeróbek, będzie mógł odbierać barwny program, oczywiście w kolorach czarno-białych.

„Już wkrótce telewizja francuska rozpocznie eksperymentalne nadawanie telewizyjnych programów z Paryża do Algieru. Jako stacje przekaznikowe służyć będą... samoloty wyposażone w specjalne urządzenia. Bardzo ciekawym tego eksperymentu, który może stanowić poważny krok naprzód w rozwoju telewizji.

„Telewizja NRF przystąpiła ostatnio do organizowania własnych archiwów. Wszystkie cenione pozycje programowe w rodzaju inscenizacji, własnych przedstawień, reportaży, sportowych itd., zostają utrwalone na taśmie filmowej lub nowoczesnych urządzeniach video — magnetycznych. Ten sposób pozwala na wielokrotne wypożyczenie i u nas, w naszym kraju, jest to bardzo ciekawe.

To nie maszyna piekielna lecz starodawny folusz znany ponad lat. O ostatnim takim foluszu w naszych Beskidach Śląskich pisał obok.

## Jeszcze o mleczku pszczelim

Nasz artykuł o mleczku pszczelim wywołał niezwykle duży odzew wśród czytelników. Jak donosiliśmy, otrzymaliśmy kilkadziesiąt listów z prośbą o bliższe dane oraz wskazanie możliwości nabywania tego specyfiku. Ponieważ okres produkcyjny SWEDEGO mleczka już minął, byliśmy zmuszeni odpowiedzieć zainteresowanym, iż obecnie nie mamy, niestety, szans na jego zdobycie.

Chodziło jednak, podkreślamy, jedynie o mleczko świeże, które nie poddawane żadnym zabiegom konserwacyjnym. A takie zabiegi również się u nas stosuje.

Oto w tych dniach odwiedził naszą redakcję p. Bolesław Konopiński z Poznania.

P. Konopiński, z wykształcenia biolog, zażenował nas, przedstawiając nam mleczko pszczele w postaci ciasta, tabletek. Jest to mleczko poddane procesowi LIOFILIZACJI, czyli mrożeniu bez wody — suszeniu w temperaturze — 40 stopni C i w próżni.

„Nleco szokujące uchwała podjął Senat belgijski. Zabronił on nadawania przez telewizję jakiegokolwiek transmisji z zawodów bokserkich i walk zapaśniczych. Jesteśmy naprawdę bardzo ciekawym, z jakim odzwiekciem w naszym społeczeństwie spotkałaby się taka uchwała?

„Już niedługo w Paryżu rozpocznie swe obrady międzynarodowy kongres filmowców. Organizatorzy kongresu stawiają sobie za cel zakończenie „zimnej wojny” towarzysząc jej od czasu czasu między producentami filmowymi i telewizyjnymi. Na kongresie rozpatrzony zostanie projekt niemieckiego producenta filmowego Karla Moseya, który proponuje powołanie do

## REDAKCJA ODPOWIADA CZYTELNIKOM

JEDEN Z CZYTELNIKÓW

F. S. Z BYTOMIA. Niestety, nie ma Pan racji. Felieton red. Illerowskiego krytykujący treść i wykonanie Panny Czesłochowskiej, nie stanowi w żadnym wypadku obrazu uczuć religijnych. Obrona Czesłochowej przed Szwedami naprawdę nie wyglądała tak, jak opisał ją w swoim pamiętniku ks. Kordecki, który nękał tam koło swego chwale i chwale klasztoru na potęgę. Sienkiewicz, pisząc „Potop”, nie wiedział jeszcze, że przeor, który składał korne hołdy królówi szwedzkiemu, tak dalece rozmiłował się z prawdą. Dlatego jego opis obrony Czesłochowej jest naprawdę piękny, ale też dałki od prawdy historycznej. Udowodniło to po szczegółowych badaniach kilku historyków w latach międzywojennych i po wojnie, m. in. nie kto inny, jak ksiądz dr. Frańs w swojej książce na ten temat, wydanej w r. 1936, a po wojnie prof. dr. Wł. Czapliński w rozprawce drukowanej w „Zeszytach Wrocławskich”.

Faktem jest, że nie obrona Czesłochowej była początkiem przełomu w walkach z najazdem szwedzkim.

Tyle wyjaśnienia. A żeby zarzucić komuś pisanie „bzdur”, trzeba jednak coś wiedzieć, co czytało, czymś się interesować, obywatelu F. S. Nie wystarczy wierzyć ślepo w to, co do wierzenia podają.

OB. MARKOWSKA, SOŚNOWIEC. Pisze Pan przebież koncertom żyć w radio i kończyć apelem: „Nie ustępujcie. Walczcie o czystość programu!”. Niestety, nasze możliwości są ograniczone. Uważamy, że walcząc z (i) mania koncertów żyć powinni sami słuchacze. Trzeba po prostu pisać do radia.

OB. STANISŁAW G. PIERSCIEC, POW. CIESZYN. Wiersze są niedobre. Nie ma w nich poezji, są natomiast błędy gramatyczne. Wobec tego nie skorzystamy.

OB. ALINA P. KATOWICE. Fraszkli są mało dowcipne i nieciekawe. To, że „Kaktus” drukuje — jak Pan pisze — stosunkowo słabe utwory, nie powinno Panu aż zmuszać do pisania fraszek. Po co wyrecytować innych słabych fraszkopisarzy. Niech się sami męczą.

OB. K. M. KAM. MILICZ. Wiersz wydaje nam się banalny. Nie skorzystamy.

OB. LUCJAN P. ZAJACZEKI, P-TA KRZEPICE. Pisze Pan: „Piszę te swoje wiersze, ki i opowiadałam już drugi rok i jakoś one nie wychodzą zbyt dobrze, choć przy ich pisaniu nie mam najmniejszych trudności. Bardzo proszę o odpis, w którym znalazłbym porady i wskazówki, w jaki sposób udoskonalić swój talent poetycki”.

Wierszyki rzeczywiście nie wychodzą. Brak trudności przy ich pisaniu jest bardzo niebezpieczny. Udoskonalać nie ma co. Radzimy zaniechać tej pracy, choć nie sprawiła ona Panu trudów.

Proces liofilizacji trwa około 30 godzin, po czym dokładnie się porcje dawkuje, a wreszcie — formuje pastylki po 30 mg mleczka.

P. Konopiński twierdzi, że działanie „Lactapinu” (tak wiecie, ten produkt wyprodukował nasz wiśniany organizm). Cierpił on mianowicie na przewlekle odwodnienie dwunastnicy i wyleczył się właśnie mleczkiem.

W chwili obecnej pasieki spółki Kaczmarek liczą 120 pni, z których w bieżącym sezonie przeobrażono ok. 800 gramów mleczka. W roku przyszłym pasiek wrośnieć mają do 140 pni — odbiorca mleczka będzie poznański spółdzielnia pracy „Farmapol”. P. Konopiński ma się tu zająć technologią.

Zainteresowanym podajemy jeszcze adres na jaki można skierować zamówienia: p. Bolesław Konopiński, Poznań, ul. Rataje 15.

Życia międzynarodowej organizacji pod nazwą „Telecin” zajmującej się równoległe produkcją pomietrażowych filmów fabularnych przeznaczonych do wyświetlania w kinach oraz ich lenatywnych opowiadników — półgodzinnych filmów telewizyjnych. Proponuje się również utworzenie ośrodków produkcyjnych organizacji Telecin w Londynie, Kalifornii, Berlinie i Moskwie.

W programie osmiu działających w Los Angeles (USA) stacji telewizyjnych planowano na przestrzeni jednego tygodnia 223 sceny morderstw. W ten sposób statystyka „zabójstw telewizyjnych” w Stanach Zjednoczonych osiągnęła swosix i nie do pozostawienia rekordów.

—sigma—

## Śladami książkowej Bibesco

**N**ARESZCIE doczekaliśmy się... Ukazała się książka, od której oczekiwano przez wszystkich, że ludzi pracy w naszym kraju z dręcącą niecierpliwością. Nasze zmartwienia się skończyły. Pomogło nam w tym Wydawnictwo Przemysłu Lekkiego i Spo-



żywego (państwowej), które było uprzejme (uprawdnie w stanowiącej do skromnym jak na nasze potrzeby nakładzie, bo zaledwie... 60.000 egzemplarzy) wydać epokowe dzieło pt. „Przewodnik elegancji”, tłumaczenie z francuskiego książki „Guide de l'Elegance”. Rzecz jasna, że wszelkie prawa są zastrzeżone, ba, jest nawet copyright by Auge, Gillon, Holler Larousse, Moreau et Cie Paris. Ale nie martwimy się, wydane dewizy na zakup tak wspaniałego podręcznika na pewno się opłaca.

**JAK SIĘ UBIERAĆ NA POLOWANIE Z CHARTAMI?**

A więc po pierwsze: „Przez mroźny nie ograniczaj się do sklepów luksusowych, ponieważ w domach towarzyszących znajdziesz bardzo ładne tkaniny po cenach niższych. Poszukiwaj tam także resztek tkanin lub chustki, którą możesz umiejętnie zaizolować na szyi lub na głowie”.

Po drugie: „Futro spełnia też swoje zadanie w lecie. Bolera, peleryny, lisy nosi się do sukien letnich na wyjątkich uroczystościach”.

Po trzecie: „Polowanie z chartami — a na polowaniu z chartami kobieta na ogół nie nosi spodni. Kobiety przywykłe do jazdy konnej okracają często noszą rodzaj spodni na spodniach, która opada z obu boków konia. Kolor kurki (zakładu) za leży od drugiego do którego się należy”.

Po czwarte: „Mogłoby być także dalszy szereg nienumerowanych rad z cytowanego dzieła, ale przecież nie starczyłoby miejsca na wsk-

zówki dla najpoważniejszego odbiorcy: „Przewodnik elegancji” — dla wiesniaków.

**WSI SPOKOJNA, WSI WESOLA!**

„Przykłady ubioru dla wieśniaczki. — Garderoba powinna być przystosowana do trybu życia. Nie staraj się być podobna do aktorek filmowych przebranych za chłopki z fantazji.

Lato. — Rano do pracy: kombinizon lub spódnica obcisła podługie z płożną niebieskiego lub różowego gładkiego, bluzka kolorowa bez rękawów lub pulower hawajski biały lub kolorowy, tropy.

Po południu: sukienka bawelniana wzorzysta, lub spódnica w kolorze żywym i bluzka koszulowa z kolnierzykiem lub wycięciem przy sznu, sandały na gołych nogach.

W niedzielę na tańce: sukienka bawelniana wzorzysta lub z jedwabiu drukowanego, pończochy z nylonu, obuwie na obcasach...”

Przerwijmy na tym. Myśle, że wystarczy, a przecież należałoby jeszcze przekazać masom jak należy ubrać się do sportu hippicznego, do fa, tenisa itd. Przecież jeszcze odrębny i ważki traktat należał poświęcić oznaczeniu kapeluszy, a następnie rekawiczek. Nie należy również zapominać, iż „Książka Bibesco” twierdzi, że noszenie ciastnych rekawiczek, ciastnego obuwia i ciastnego ubrania świadczy o pewnej małostkowości. Nie bądzmy zatem małostkowici...

**SPAĆ MOŻNA W NASZYJNIKU Z PERŁ**

Wiele jeszcze tylko wspomnimy o biżuterii i na tym koniec: „Naszyjnik brylantowy

wy nosi się tylko do uroczystego stroju galowego. Naszyjnik z perł jest jedynym klejnotem, który można nosić przez cały dzień, a nawet w nocy, ponieważ są kobiety, które go nigdy nie zdejmują...” I od razu dobra rada: „Nos naszyjnik, koleży i dwa pierścienie lub naszyjnik, bransoletki i klipsy albo inny garnitur dyskretny i w dobrym guście. Klejnoty w dobranych oprawach”.

Tak... To prawdziwy klejnot taki przewodnik. Jak mogliśmy żyć tyle lat nieświadomości bez takiej elegancji? Zawsze wielokrotnie zastanawiamy się nad tym, co Przemysłu Lekkiego i Spożywczości, że udostępnia wreszcie szerokim. 60.000-nym masom tak wspaniałej lektury. Kosztowało nas to trochę dewiz, trochę papieru, i innych rzeczy (których zresztą mamy przecież w bród w naszym bogatym kraju) ale nie bądzmy małostkowici — jakby powiedziała księżna Bibesco.

**UCZCIWIĆ**

W zamieszczony mieliśmy z „Lokalizacyjnych” m. strzostw Europy w Słotkholmie St. Sieniarski pisze „Szwedzi słyną z uczciwości. Kiedy też podlega rozgrywki o tytuł mistrza skoków (2 Szwedów przed ko Czechowi) przed skokiem Lansky'ego spadła poprzeczka (Czech zaczął dopiero rozbijać, zimni Szwedzi widowni gwizdali pod adresem swych rodaków, zadrliw) niczym południowcy...”

**POŹNE ODKRYCIE I. ZAZDROSNY MAŻ**

Z kolei nasza „złota” Basia Janiszewska żaliła się reporterowi z „Dziennika Polskiego”: „...dotychczas nikt ani z prasy ani z przedstawicieli oficjalnych nie dostrzegł przypuszczenia przed 6 laty, że jestem ładna względnie przy stole. W chwili obecnej o-mal nie robią ze mnie piękności i proszę mi wierzyć, że wszelkie niesprawdzone wiadomości o moim powodzeniu, ukazujące się w prasie, podkreśla czerwonym ołówkiem mój mąż”.

**RACJONALIZATORZY**

Jak podała Polska Agencja Prasowa, Główna Spółdzielnia w miejscowości Bzostek pow. Jasło zawiesiła na drzwiach wszystkich swych sklepów w dniu 22 sierpnia klódkę oraz napisy „Z powodu wyjazdu — sklep nieczynny” a zarząd spółdzielni i wszyscy sprzedawcy polecieli na 4 dni nad morze. Korzystała ze słońca i słonecznej wady. Mieszkańcy Bzostka do 27 sierpnia nie mogli kupić nawet najbardziej potrzebnych artykułów spożywczych.

**ŻYCIE RODZINNE**

Ogłoszenie z „Kurierza Szczecińskiego”: „Ostrzegam krewnych i znajomych przed udzielaniem pożyczek pieniężnych mojej żonie, Katarzynie Makowskiej, Maż”.

Ogłoszenie z „Gazety Pomorskiej”: „Słowa wypowiedziane na ob. Eugeniusza Renke, zam. w Nowem, odwołuję. Żona”.

## TO WARTO MIEĆ W ALBUMIE



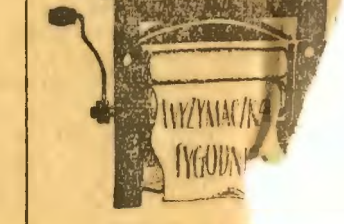
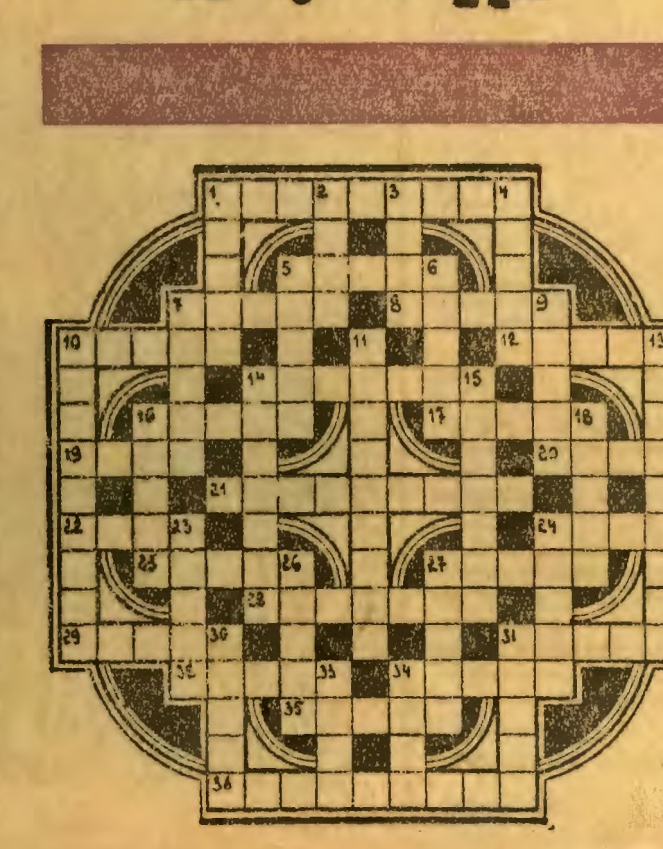
**ZNACZENIE WYRAZÓW**

**POZIOMO:** 1. głód przed siebiorstwo, 5. zjawisko, albo siły, 6. pokarm gasienice, 7. pokarm gasienice, 8. wezeł, 10. poważa, 12. miasto w woj. kieleckim, 14. rozrusznik, 16. kolki do zatykania, 17. pożywny napój, 19. bankiet, 20. duże sale, 21. handlarz, 22. łobuz, 24. dopływ Warty, 25. abażur, 26. widmo, 28. przemijająca, 29. rzeźba w Afryce, 31. tutek, 32. napady, 34. zwisające kawały lodu, 36. litera łacińska, 38. rzemieślo.

**PIONOWO:** 1. wieśniak, 2. niszczyciel, 3. ozdoba głowy, 4. kwiat, 5. dawn. poprzedzający małżeństwo, 6. skok do wody, 7. część jachtu, 8. „tona” daniela 10. mediator, 11. ogrodowa poziomka, 13. przyprawa, 14. pasyżyt zbożowy, 15. oddziaływanie, 16. dziwak, 18. taniec, 23. kłamstwo, 24. płody 26. mogą być piar skie, prześlanekowe itp., 27. „szara godzina”, 30. dziura, 31. beznamiętnie, 33. umocniła życie, 34. znaczenie, treść.

Wśród czytelników, którzy w terminie do dnia 15 września br. nadesłały trafne roz-

## krzyżówka



**UCZCIWIĆ**

W zamieszczony mieliśmy z „Lokalizacyjnych” m. strzostw Europy w Słotkholmie St. Sieniarski pisze „Szwedzi słyną z uczciwości. Kiedy też podlega rozgrywki o tytuł mistrza skoków (2 Szwedów przed ko Czechowi) przed skokiem Lansky'ego spadła poprzeczka (Czech zaczął dopiero rozbijać, zimni Szwedzi widowni gwizdali pod adresem swych rodaków, zadrliw) niczym południowcy...”

**POŹNE ODKRYCIE I. ZAZDROSNY MAŻ**

Z kolei nasza „złota” Basia Janiszewska żaliła się reporterowi z „Dziennika Polskiego”: „...dotychczas nikt ani z prasy ani z przedstawicieli oficjalnych nie dostrzegł przypuszczenia przed 6 laty, że jestem ładna względnie przy stole. W chwili obecnej o-mal nie robią ze mnie piękności i proszę mi wierzyć, że wszelkie niesprawdzone wiadomości o moim powodzeniu, ukazujące się w prasie, podkreśla czerwonym ołówkiem mój mąż”.

**RACJONALIZATORZY**

Jak podała Polska Agencja Prasowa, Główna Spółdzielnia w miejscowości Bzostek pow. Jasło zawiesiła na drzwiach wszystkich swych sklepów w dniu 22 sierpnia klódkę oraz napisy „Z powodu wyjazdu — sklep nieczynny” a zarząd spółdzielni i wszyscy sprzedawcy polecieli na 4 dni nad morze. Korzystała ze słońca i słonecznej wady. Mieszkańcy Bzostka do 27 sierpnia nie mogli kupić nawet najbardziej potrzebnych artykułów spożywczych.

**ŻYCIE RODZINNE**

Ogłoszenie z „Kurierza Szczecińskiego”: „Ostrzegam krewnych i znajomych przed udzielaniem pożyczek pieniężnych mojej żonie, Katarzynie Makowskiej, Maż”.

Ogłoszenie z „Gazety Pomorskiej”: „Słowa wypowiedziane na ob. Eugeniusza Renke, zam. w Nowem, odwołuję. Żona”.

**ZNACZENIE WYRAZÓW**

**POZIOMO:** 1. głód przed siebiorstwo, 5. zjawisko, albo siły, 6. pokarm gasienice, 7. pokarm gasienice, 8. wezeł, 10. poważa, 12. miasto w woj. kieleckim, 14. rozrusznik, 16. kolki do zatykania, 17. pożywny napój, 19. bankiet, 20. duże sale, 21. handlarz, 22. łobuz, 24. dopływ Warty, 25. abażur, 26. widmo, 28. przemijająca, 29. rzeźba w Afryce, 31. tutek, 32. napady, 34. zwisające kawały lodu, 36. litera łacińska, 38. rzemieślo.

**PIONOWO:** 1. wieśniak, 2. niszczyciel, 3. ozdoba głowy, 4. kwiat, 5. dawn. poprzedzający małżeństwo, 6. skok do wody, 7. część jachtu, 8. „tona” daniela 10. mediator, 11. ogrodowa poziomka, 13. przyprawa, 14. pasyżyt zbożowy, 15. oddziaływanie, 16. dziwak, 18. taniec, 23. kłamstwo, 24. płody 26. mogą być piar skie, prześlanekowe itp., 27. „szara godzina”, 30. dziura, 31. beznamiętnie, 33. umocniła życie, 34. znaczenie, treść.

Wśród czytelników, którzy w terminie do dnia 15 września br. nadesłały trafne roz-



## NA WIDNOKRĘGU

SPRAWY  
SMUTNE

Czasem głupstwo — a wywołuje burzę. Podobnie stało się z teletextem sprzed trzech tygodni o wyświeceniach w telewizji katowickiej i filmie „Wzrost”. Burza jest wywołana niewiedzą, ale bardzo znacząca. Znaleźli się czytelnicy, którzy uznali, że nie mam racji i postanowili mi napisać. Ich zdaniem film „Wzrost” to nie był arcydzieło, pełne porażającej i wzruszającej prawdy, ich zdaniem książka Miśkowskiego i Rodziewiczówny są tej samej rangi co dzieła Sienkiewicza, Mickiewicza, to utwory, z których powinna być dumą kultura narodowa.

Dziwna sprawa. Ja pisałem w swoim mieniu wyrażałem swoje sądy, podczas gdy moi antagoniści przemawiali do mnie i bezwzględnie w imieniu niemal całego zbieg czeszczonego w moim teletextie narodu. „Posłuchajcie teletextu” kop. Marek i kolekcja” uderzając w najwyższe tony patriotycznej wolności, że nie pozwolą, aby jakiś tam redaktor krytykował i nazywał szmarla to, co tworzyli artyści i pisarze przedwojenni”. W imieniu narodu gromi mnie także niejaką „Zocha” z Zabrza pisać m. in. „Panie Hierowsky, do lamusa z pańską gadką. Już dość nas wyświecał pan na Miśkowskiego, a to dlatego, że ma rację, a nie wiecie, bo umie w swoich książkach pisać, co się ludziom podoba. Niech pan pamięta, że szkolenie ideologiczne już nie ma i że film nie jest jego przeznaczeniem. Zdać się, że pan jeszcze żyje w „minionym świecie” i jest zwolennikiem kultu jednostki”. Oczywiście film narodu najłatwiej przemawiać przy pomocy nowożytnego obywatela, który ma anonimowe. Ten fakt zważyłby mi na własność, ale obywateli od nich nie, gdyby nie to, że chodzi o sprawy znaczące.

Sprawy smutne. Bo są to sprawy gustów, przedmiotów, najniższego odbioru kultury, estetyki i widać kinowe. Jeżeli odbiera ten wyrost na narodowy piedestał książki Miśkowskiego i Rodziewiczówny, jeżeli broni ich z pasją i zaciętością, to rzecz jest poważna i trzeba o niej poważnie porozmawiać.

Miałem na uniwersytecie znanego i mądrego profesora historii literatury. Był nim Janusz Chrzaniński. Profesor ów powiedział nam kiedyś — było to na przełomie lat trzydziestych, przed wojną — że bardzo lubi chodzić na polskie filmy, bo są tak głupie, że nie trzeba na nich myśleć, dzięki czemu dla człowieka pracy umysłowej są wytężeniem i odpoczynkiem. Był to oczywiście paradoksalny żart, zawierający w sobie jednak trafną ocenę wielu polskich filmów przedwojennych. Książki Rodziewiczówny i Miśkowskiego, filmy w rodzaju „Wzrost” to właśnie typowe przykłady utworów, które całkowicie zwalniają od obowiązku myślenia. Jeżeli nazwałem je „sentymentalną bzdurą”, to właśnie dlatego, że obliczone są na najbardziej powierzchowne wrażenia, na to, żeby wywołać z oczu czytelnika czy widza sentymentalną łezkę, a nie prawdziwą i głęboką przemyślenie. Byłoby nawet uderzenie. Nie słysząc znaną romanistkę, autorkę powieści „Wzrost”, autorkę „Dziwnych” i „Jasnych latów”, czy „Żołnierza zwycięstwa”. Konsekwentnie moi dumni Grecy, bo to wygodnie. Udać, że nie widzą, że literatura schematyczna została u nas nie tylko skrytykowana, ale po prostu rozczarowana. Że, schematyczne filmy osadzone rowno ostro nie oglądają się nawet na narodziły, którym w wyróżniono. Udać także Greców dlatego, że nie jakoby nie wiedzą, jakie zmiany dzieła nas od schematyzmu w literaturze i filmie. Toteż zapewniam z całym spokojem, że „Jasne lata” i powieści w tym stylu uważam za taką samą szmarla jak „Tredowata” czy „Wzrost” w jego wersji filmowej, co powieści już nie pamiętam i nie umiem powiedzieć, co zrobił z niej szmarla-scenarzysta.

Bo schematyzm, proszę państwa, nie jest wynalazkiem i przywilejem wyjątkowego realizmu socjalistycznego. Istnieje tak długo, jak długo istnieje literatura, jak długo istnieje: klasyczna literatura i klasyczna sztuka. Schematyzm to uproszczenie obrazu człowieka i świata, to prymitywizm myślowy, to płaskie i prymitywne odbicie rzeczywistości w dziele sztuki to tendencja do zataśowania. Dzieła schematyczne znajdziemy nawet w dorobku największych twórców i w każdej epoce. Ale ich masowymi przeciwnikami są twórcy późniejszej niktory, ludzie bez talentu, niezdolni do głębszego przeżycia, do samodzielnego myślenia, do oryginalności. Schematyzm wreszcie płodzą pisarze koniunkturalni. Miśkowskiego była takim samym pisarzem koniunkturalnym jak niektórzy nasi literaci współcześni i to z różnicą, że żerowała na złych gustach drobno-miśkowskiego czytelnika, podczas gdy współcześni nam żerowali na sytuacji politycznej.

Przez pewien czas sadzono u nas, że stara emigracja w rodzaju Miśkowskiego ucieka się do nas wykreślił z pamięci starożytnych czytelników i żarzą do niej młodszych powieściela w rodzaju „Kampania zwycięstwa” czy „Numer 16 produkcyjny”. I to był błąd, grubo błąd, z którym już skończyliśmy. Natomiast mnie i tej grupie publicystów i krytyków, o których z taką drwiną pisał rzekomy korniej kop. Marek i Zocha z Zabrza, chodzi o to, żeż ludzie nie karmili się brzoźwino, że a d n a szmarla, ani „Jasnymi latami”, ani „Święta Genowefa”, ani „Tredowata”. Powiem to w wielkim uproszczeniu: pragniemy, by ktoś, kto chce czytać o miłości, o tragedii dwójki ludzi wynikającej np. z różnic społecznych i przesadów stanowych, nie czytał „Tredowatej” czy „Ordynata Michorowskiego”, ale np. „Ozwone i czarne” Sienkiewicza, „Janki” Prusa, Prądnicy także, żeby istniała u nas — zarówno oryginalna jak i w przełożeniu — mądra, kulturalna, artystycznie przemyślana literatura popularna, powieści bez wielkich filozoficznych i moralistycznych ambicji, napisane rozsądnie ze znajomością życia i jego problemów, ze znajomością sztuki pisarskiej — takie powieści, które czyta się dla odprężenia, w chwilach odpoczynku, a które nie mogą zmanipulować i myślowej tandety. Niestety, pisarzy współczesnych w rodzaju Rodziewiczówny czy Dolci-Miśkowskiego (bierne pod uwagę ich najlepsze książki u nas, właściwie nie ma, gdy się pojawiają — są pogardzane, właściwie nie ma, gdy się pojawiają — są pogardzane, właściwie nie ma, gdy się pojawiają — są pogardzane).

Widok pana Neluka doktor Nahliczek wpadł znowu w dobry humor; potraśnił mu rękę, poklepał swym zwyczajem po ramieniu i spytał, patrząc mu zachęcająco w oczy: — Więc jak tam interesy, kolego, jak tam? — Wyśmienicie — odpalił pan Neluka, rzucając mu drugocześnie spójrzanie — a może ktoś powiedział panu coś innego? — Ale, ale — zawołał dr Nahliczek — Też pytałem, kto by śmiał coś podobnego twierdzić? — No chyba! — odpalił pan Neluka groźnie. — Bo bym tego chłopca zaskarżył. — Ale ja naprawdę nie rozumiem, drogi przyjacielu, jakby ktoś mógł źle mówić o pańskiej wytwórni. Daj pan spokój! Jeśli ktoś ma tak wspólnego z państwem, jak pan Bartak! — Pan Neluka zagryzł zębami. Za uważszy to, dr Nahliczek zapytał: — A może myślimy się, twierdząc, że pan Bartak jest wspaniałym współczynnikiem? — Pan Neluka przytaknął. — Jest. — No chyba, bo o ile mi wiadomo, jest to pracowity, ofiarny, lojalny, a przede wszystkim rozsądny człowiek. Ale, panie Neluka, proszę pa na, dlaczego pan ucieka? — Ożywił się, spotkawszy za chwilę pana Neluka, który niedawno sprzedał korzystnie sklep, ponieważ miał z nim kłopotów powyżej uszu. Żeby mieć spokojną starość, kupił, idąc za radą swego banku, za całą gotówkę akcje. Ale diabeł nie śpi: Zaledwie znalazł się w ich posiadaniu, akcje zaczęły spadać i w tych dniach pan Neluka stał się bankrutem i starał się o posadę buchaltera w miejscowej fabryce czekolady. Doktor Nahliczek potrząsnął mu serdecznie rękę, poklepał po ramieniu i zdradził mu, że niedawno o nim myślał.

— Co pan mówi! — powiedział pan Neluka z wielką zainteresowaniem. — Więc jak tam interesy, kolego, jak tam? — Wyśmienicie — odpalił pan Neluka, rzucając mu drugocześnie spójrzanie — a może ktoś powiedział panu coś innego? — Ale, ale — zawołał dr Nahliczek — Też pytałem, kto by śmiał coś podobnego twierdzić? — No chyba! — odpalił pan Neluka groźnie. — Bo bym tego chłopca zaskarżył. — Ale ja naprawdę nie rozumiem, drogi przyjacielu, jakby ktoś mógł źle mówić o pańskiej wytwórni. Daj pan spokój! Jeśli ktoś ma tak wspólnego z państwem, jak pan Bartak! — Pan Neluka zagryzł zębami. Za uważszy to, dr Nahliczek zapytał: — A może myślimy się, twierdząc, że pan Bartak jest wspaniałym współczynnikiem? — Pan Neluka przytaknął. — Jest. — No chyba, bo o ile mi wiadomo, jest to pracowity, ofiarny, lojalny, a przede wszystkim rozsądny człowiek. Ale, panie Neluka, proszę pa na, dlaczego pan ucieka? — Ożywił się, spotkawszy za chwilę pana Neluka, który niedawno sprzedał korzystnie sklep, ponieważ miał z nim kłopotów powyżej uszu. Żeby mieć spokojną starość, kupił, idąc za radą swego banku, za całą gotówkę akcje. Ale diabeł nie śpi: Zaledwie znalazł się w ich posiadaniu, akcje zaczęły spadać i w tych dniach pan Neluka stał się bankrutem i starał się o posadę buchaltera w miejscowej fabryce czekolady. Doktor Nahliczek potrząsnął mu serdecznie rękę, poklepał po ramieniu i zdradził mu, że niedawno o nim myślał.

O POWIATOWEGO miast K. sprowadził się nowy dentysta dr Filip Nahliczek. I ma się rozumieć — wkrótce znał już kogo tylko chciał i nie chciał.

Pewnego dnia znalazł go z podrażnionym gardłem. I tego jednak było okrutnemu mordercy za mało: wrzucił biedaka ponadto do rzeki, obciążwszy mu przednio nogi workiem z kamieniami.

Minio, że morderca jakby się w ziemię zapadł, wszczęto za nim energiczne poszukiwania, prowadzone przez młodego urzędnika sądowego Metodę Praszla. Ów młodzieniec stwierdził przede wszystkim to, co w K. wiedzieli już od dawna wszyscy, że nie było bardziej uśmiechniętego, życzliwego, grzecznego i usłusznego człowieka, niż Filip Nahliczek. Pod tym względem był prawdziwym przeciwieństwem swego poprzednika, starego doktora Papouszka. Ów doktor był wielkim zrzędną i zgrzyliwym. Gdy pacjent pukał do drzwi jego gabinetu, udawał, że nie słyszy. Kiedy pacjent odważył się wreszcie wejść bez zezwolenia, dr Papouszek zwracał się do niego nieprzyjemnym głosem, przeciągając obrazliwie każdą zgłoskę.

— Czego pan tu wchodzi? Nie lubię, gdy pacjenci wchodzi bez pukania. Na takie diletum nieszczyśny pacjent naturalnie zabierał się do wyświeca, ale zatrzymywano go nieuprzedzonym: — Czego pan ucieka? Jeśli już pan tu jest, to niech pan zostanie. Następnie dr Papouszek podchodził do szafki ze straszliwymi instrumentami, długo i starannie w nich grzebał, aż znalazł najstraszniejsze, zapytywał pacjenta jak długo trwa u niego utrata przytomności, a następnie zabierał się do swej krwawej roboty.

W przeciwieństwie do tego starego zrzędy Nahliczek pracował grzecznie, szybko i bezgłośnie, bezustannie pacjentom podziękował i życzliwie z nim rozmawiał, aż do chwili gdy zab został usunięty. Damsy mawiały o nim, że ma złote paluszki a niezmężne wszystkim siłami, jakkolwiek bezskutecznie, starali się wpro wadzić go do stanu małżeńskiego.

— Ale kiedyś śledztwo sięgnęło pod cienką powłokę, wyszły na jaw pewne zdumiewające szczegóły. Ów anielski doktor Nahliczek skarżył się np. na tydzień przed śmiercią ko muś w restauracji.

— Nie rozumiem dlaczego tutejsi ludzie tak mnie unikają. Czy nie od nosi pan wrażenia, że wszyscy mnie tu nienawidzą? Za co, proszę pana? Przecież nikomu nie ubliżyłem. Widać już, że muszę się pogodzić z losem człowieka niezrozumianego. Poniżej dumnie ten krzyż aż do śmierci.

Jak widać nie mógł go zbyt długo. Co się wtedy aluzji o niepopularności, ba, zniechęceniu tego człowieka, stwierdzono z kolei o następujące:

Mniej więcej przed pół rokiem dr Nahliczek spotkał spedytora Chudobę, który właśnie rozdzielił się z żoną. Zobaczywszy go, dr Nahliczek ruszył ku niemu z wyciągniętą dłońią i ze swym uprzejmym uśmiechem, wołając już z daleka: — No, to się cieszę, przyjacielu, że znów pana widzę, gdyby wszyscy mieli takie zdrowie żeby jak pan, biedny dentysta umarłby z głodu, cha, cha. A jak się powodzi pańskiej małżonce?

Dziękuję bardzo, o ile wiem, powodzi się jej całkiem dobrze — odpowiedział spedytor z kwaśną miną.

To mnie naprawdę bardzo cieszy — rzekł dr Nahliczek rozpromieniony. — Jak zresztą mogłoby się jej powodzić inaczej, takiej perle wśród kobiet! Pewny jestem, że wszyscy jej panu zadróżą. Bo ja na pewno, cha, cha. A takich jak ja jest... Kiedyś widziałem ją w parku z panem Breburdą, mogło być wpol do jędenasiej w nocy...

Wybaczy pan, spieszę się na dworzec — zawołał Chudoba, trzęsąc się z wściekłości. — No czelem, przyszedł raz porozmawiać z panem Neluką. Człowiek ten wyrabiał instrumenty muzyczne. Nie był akurat w najlepszym humorze, ponieważ jego cichy współnik pan Bartak wypowiedział mu przed tygodniem z hukiem i trzaskiem spółkę, a teraz trąbił na prawo i lewo, że z Neluką jest kłopot.

Na widok pana Neluka doktor Nahliczek wpadł znowu w dobry humor; potraśnił mu rękę, poklepał swym zwyczajem po ramieniu i spytał, patrząc mu zachęcająco w oczy:

— Więc jak tam interesy, kolego, jak tam?

— Wyśmienicie — odpalił pan Neluka, rzucając mu drugocześnie spójrzanie — a może ktoś powiedział panu coś innego?

— Ale, ale — zawołał dr Nahliczek — Też pytałem, kto by śmiał coś podobnego twierdzić?

— No chyba! — odpalił pan Neluka groźnie. — Bo bym tego chłopca zaskarżył.

— Ale ja naprawdę nie rozumiem, drogi przyjacielu, jakby ktoś mógł źle mówić o pańskiej wytwórni. Daj pan spokój! Jeśli ktoś ma tak wspólnego z państwem, jak pan Bartak!

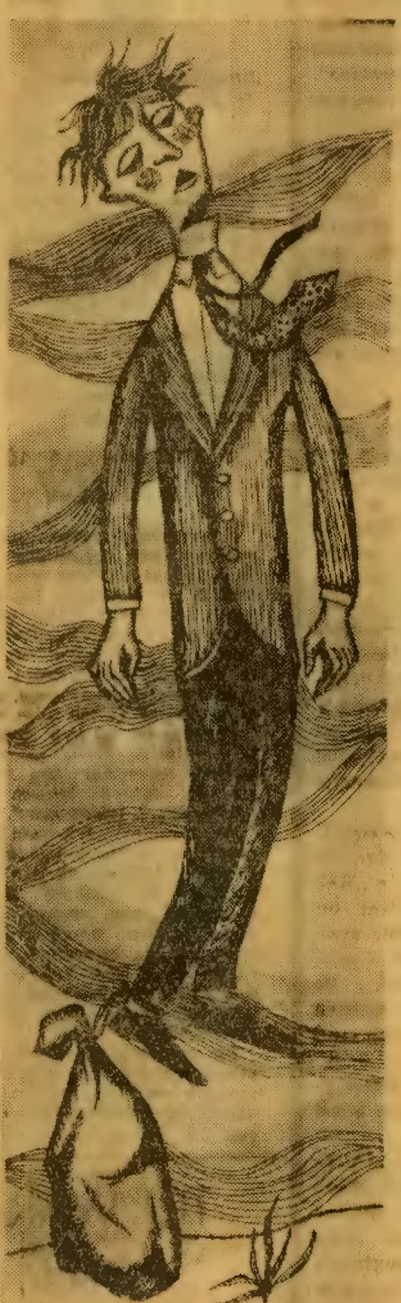
Pan Neluka zagryzł zębami. Za uważszy to, dr Nahliczek zapytał: — A może myślimy się, twierdząc, że pan Bartak jest wspaniałym współczynnikiem?

Pan Neluka przytaknął. — Jest.

— No chyba, bo o ile mi wiadomo, jest to pracowity, ofiarny, lojalny, a przede wszystkim rozsądny człowiek. Ale, panie Neluka, proszę pa na, dlaczego pan ucieka?

Ożywił się, spotkawszy za chwilę pana Neluka, który niedawno sprzedał korzystnie sklep, ponieważ miał z nim kłopotów powyżej uszu. Żeby mieć spokojną starość, kupił, idąc za radą swego banku, za całą gotówkę akcje. Ale diabeł nie śpi: Zaledwie znalazł się w ich posiadaniu, akcje zaczęły spadać i w tych dniach pan Neluka stał się bankrutem i starał się o posadę buchaltera w miejscowej fabryce czekolady. Doktor Nahliczek potrząsnął mu serdecznie rękę, poklepał po ramieniu i zdradził mu, że niedawno o nim myślał.

— Co pan mówi! — powiedział pan Neluka z wielką zainteresowaniem.



— No, słowo panu daje. Wracalem z Pilzna, a tu wchodzi do przedziału jakiś człowiek i zaczyna grać na gitarze. Grał tak cędnie, żeśmy mu czym prędzej coś dali, żeby się go pozbyć.

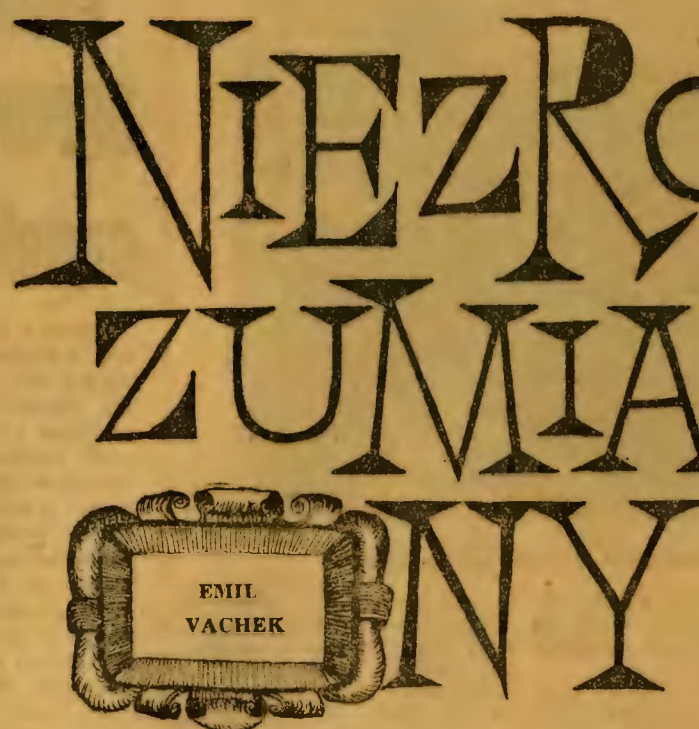
— Zabrak? — Ale nie tuzinkowy. Zanim odszedł powiedział nam: — Był czas, że nie musiałem zabrać panowie, pa młotem jeszcze czas, kiedy sam dałem jamużę, ale opłacił mnie szatan wcielony w postaci kierownika banku. Posłuchałem jego podstępów, żeby wpakować wszystkie pieniądze w akcje. Ba, nawet wiano mojej żony w tym utopiłem, jak głupiec.

— Przyjacielu — rzekł dr Nahliczek słodko — tym razem znów ja odważę się panu oponować. Nigdy jeszcze, słyszy pan, nigdy jeszcze Szalda nie potępił nikogo niesprawiedliwie. Jeśli ten człowiek napisał o kimś, że jest zerem — w takim razie na pewno jest zerem.

Mistrz Hanzliczek spojrział na zegarek.

— Za pięć dziesiątą — zawołał.

— Już od dwudziestu pięciu minut



— To ciekawe — zawołał pan Neluka blędnie — ale ja niestety się spieszę.

— Ale ja przecież już kończę. Kupilem te akcje, opowiadał ten nieszczyśnik, kiedy były najdroższe, a sprzedałem je na papier do pakowania kargali. No, co się pan rzuca, jak gdyby pan miał zapalenie okostnej?

— Straszna rzecz. Nie rozumiem do prawdy dlaczego ci ludzie dają przede mną uciekają? — powiedział podobno za chwilę, spotkawszy koney pienta ze starostwa powiatowego, Hanzliczka.

— Nie sprzyja panu widać dzisiaj aura — powiedział młody powieściopisarz i koncepient.

— Niech pan da spokój, ja nawet nie wiem, co to aura, no ma się rozumieć, człowiek wda się w romantyzm z poetą i naraz robi mu się gorąco. Żebym nie zapomiał, Mistrzu, w ubiegłym tygodniu kupiłem sobie pańską nową powieść. Nie miałem jeszcze czasu się do niej zabrać, den tyśta ma dziś urwanie głowy od ra na do wieczora, ale ma się rozumieć, że ja sobie przeczytam, gdy tylko będę miał wolną chwilę. Na pewno już teraz mogą panu pogratulować przyjęcia przez krytykę.

Powieściopisarzowie po tych słowach opadła trochę broda, ponieważ krytyka zjechała mu właśnie nową powieść jeszcze gorzej niż poprzednie jego utwory.

— Mnie zależałoby bardziej na pańskim zdaniu, panie doktorze, aniżeli na zdaniu tak zwanych krytyków — odpowiedział z niepokojem. — Już dawno przestałem się interesować co sadowo o mej pracy ci — upadli aniołowie.

— Ze kto? Ze co? Cha, cha, co pan powiedział? Upadli aniołowie?

— Nazywam tak krytyków, ponieważ z reguły piszą o książkach dopiero wtedy, kiedy sami daremnie usiłowali spłodzić jakąś porządną powieść lub poemat.

Doktor Nahliczek roześmiał się hałaśliwie: — To się panu udało, upadli aniołowie, no, co w tym jest. Ale czy da się to powiedzieć o wszystkich, szanowny Mistrzu, o Szaldzie przecież nie da się tego powiedzieć. To przecież krytyk z bożej łaski. Pisał już o pańskiej książce?

— Pisał — przyznał się Hanzliczek ze skurczoną twarzą, ponieważ właśnie Szalda zjechał najbardziej jego powieść. — Ale pozwolił pan, że nie podzielę pańskiego zdania o tej łasce bożej. Szalda jest tak samo omylny jak każdy inny człowiek.

— Przyjacielu — rzekł dr Nahliczek słodko — tym razem znów ja odważę się panu oponować. Nigdy jeszcze, słyszy pan, nigdy jeszcze Szalda nie potępił nikogo niesprawiedliwie. Jeśli ten człowiek napisał o kimś, że jest zerem — w takim razie na pewno jest zerem.

Mistrz Hanzliczek spojrział na zegarek.

— Za pięć dziesiątą — zawołał.

— Już od dwudziestu pięciu minut

mam być w bluzie. Do widzenia, panie doktorze.

— Do zobaczenia, Mistrzu. — Ten facet czytał elaborat Szaldy — pomyślał sobie Hanzliczek. — Z rozkoszą bym go ukatrupił za tę jego zjadliwość.

W międzyczasie dr Nahliczek — od którego nigdy już się nie dowiemy — czy rzeczywiście czytał elaborat Szaldy — spotkał panią Jalcowcowa.

— Dobrodziejko, dobrodziejko, wygląda pani coraz młodziej — zawołał. — Proszę nie zdradzić, jak to pani robi, czarodzieiko.

— Niech pan da spokój, pochlebco, przecież jestem już starą kobietą — odpowiedziała pani Jalcowcowa z zachęcającym uśmiechem.

— Dobrodziejko! Przynamniejnie by pani nie bluźniła! Pani i stara! Za to by się pani należało... Niedawno byłem w Pilźnie i spotkałem panią Krzapaczkową.

WIERSE RÓŻEWICZA  
PO CZESKU

TRZEBA przyznać, że interesująca się nazwa poezji. Po wojnie wydał już dwie antologie przekładów z polskiej, wydał też tom poezji Galczyńskiego, a zdaje się, że także i Tuwma. Obecnie nakładem tego samego wydawnictwa, co Galczyński, ukazał się tom wierszy Tałuszy Różewicza. Wydawnictwo to, nazywa się „Stani Nakładem”. Krasne literatury” jest jakby odpowiednikiem naszego PIW-u, z tym że specjalizuje się przede wszystkim w klasykach, że wydaje poza tym muzykę i książki z zakresu sztuki, a także znakomite reprodukcje dzieł wybitnych malarzy. Wydawnictwo to publikuje specjalną serię poetycką, nazywaną „Płomien”, poświęconą wybitnym poetom abym. W roku ubiegłym tom Galczyńskiego ukazał się o bok zbiorów takich poetów, jak Hecher, Guillen, Alberti, Hughes, natomiast Różewicz ukazał się w towarzystwie Guillea, Provera, Thomasa. Jak widać, towarzystwo doborowe.

Liczę 120 stron (omik wydany bardzo starannie i bardzo ładnie, choć bez zbędnych ozdóbek, przemyślnie, dale przekład całej (wzrocz) Różewicza, od tomu „Niepokój” po tom „Formy”, którego czytelnicy polscy, jeszcze nie znają. Nad doboru czuwał sam autor, tak że wybór wierszy ma charakter autorski, co jest tym bardziej interesujące. Najbardziej reprezentowane są zbiory „Czerwona rekawiczka”, „Srebrny kłosa” i „Poemat otwarty”.

Równie ważną rzeczą jak sam dobor utworów jest sprawa przekładu. Pod tym względem Różewicz ma naprawdę szczęście. Tłumaczką jego wierszy jest Władia Buzarskova, młoda ułanowana i kulturalna poetka, znająca doskonale język polski, poświęcająca się pracy wydawniczej z pasją i odaniem. Jej przekłady wierszy Różewicza można śmiało określić jako świetne. Stwierdzić to było można już wtedy, gdy ukazał się pierwszy tom wierszy Różewicza, który w tym czasie ukazał się w towarzystwie Guillea, Provera, Thomasa. Jak widać, towarzystwo doborowe.

Liczę 120 stron (omik wydany bardzo starannie i bardzo ładnie, choć bez zbędnych ozdóbek, przemyślnie, dale przekład całej (wzrocz) Różewicza, od tomu „Niepokój” po tom „Formy”, którego czytelnicy polscy, jeszcze nie znają. Nad doboru czuwał sam autor, tak że wybór wierszy ma charakter autorski, co jest tym bardziej interesujące. Najbardziej reprezentowane są zbiory „Czerwona rekawiczka”, „Srebrny kłosa” i „Poemat otwarty”.

Równie ważną rzeczą jak sam dobor utworów jest sprawa przekładu. Pod tym względem Różewicz ma naprawdę szczęście. Tłumaczką jego wierszy jest Władia Buzarskova, młoda ułanowana i kulturalna poetka, znająca doskonale język polski, poświęcająca się pracy wydawniczej z pasją i odaniem. Jej przekłady wierszy Różewicza można śmiało określić jako świetne. Stwierdzić to było można już wtedy, gdy ukazał się pierwszy tom wierszy Różewicza, który w tym czasie ukazał się w towarzystwie Guillea, Provera, Thomasa. Jak widać, towarzystwo doborowe.

W dzień później we Francuskowach Łaźniach zespół stał w bluzie — bez porównania trudniejszych warunków zewnętrznych: szupia przestrzeń sali teatralnej, który tłumacze brzmienie, pewien chłód nieletniego audytorium. A mimo to i tutaj w „Bajce” Moniuszki preludivach Liszta, „Cieniu czarnoksięznika” Dukana, „Trójkątnym kapeluszu” Falla i w „Bolero” Ravela, wa-

— Co pan mówi — szepnęła pani Jalcowcowa i spuściła oczy.

— Widzę, że się znać. Ona tak mówi, ale gdy mi powiedziała, że chodziła z panią do pierwszych klasy, pomyślałem sobie, że perfidnie kłamie. Poniaw przypadkiem wiem, że ma pięćdziesiąt jeden lat. Skądżeby więc...

— Więc jeśli pan sobie życzy, zdradzę panu co robię żeby młodo wyglądać — powiedziała pani Jalcowcowa, ziewając na twarzy. — Unikam wszelkich jadów. Jadowitych ludzi również. Do widzenia, panie doktorze.

Następnie doktor Nahliczek udał się do swego gabinetu i rozmawiał z ludźmi dopiero wieczorem. Śledztwo wykazało, że siedział w restauracji z posłem Tronickim, którego egzekutywa partii nie chciała już wysuwać na kandydata. Powiedział doń dosłownie: — Panie posle, pański zawód jest wzniosły. Ja na pańskim miejscu, gdybym miał stracić mandat, wolalabym się zastrzelić! — Gdy odszedł, posel Tronicki oświadczył podobno, że tego faceta powinnaś łamać kółem i ćwiartować.

Na drugi dzień przyjechała do K. aktorka Sławińska, pochodząca z tych stron, ale nie zagrała długo miejsca. Spotkała doktora Nahliczka i po krótkiej rozmowie nagle wyjechała. Zapytana o przyczynę przyznała się, że wyjechała pod wpływem irytacji, która ją ogarnęła, gdy dr Nahliczek jej powiedział, że kiedy ją oglądał w Pradze miał wrażenie, że coś z nią nie jest w porządku i że obecnie, kiedy ma sposobność przyrzeć się jej z bliska, widzi, że ma nienormalnie zbudowaną szyję, wywołującą wrażenie, że ma krzywe usta.

Zbadawszy ostatnich sześć dni poprzedzających morderstwo, sędzia śledczy Metody Praszla doszedł do przekonania, że co najmniej trzy tuziny osób miały powodź życzyć sobie, żeby dr Nahliczek zniknął ze świata. A ponieważ najbardziej prawdopodobne było, że morderstwo popełniła pani Jalcowcowa, umrzył śledztwo z braku dostatecznych dowodów, ponieważ ubiegał się o rękę córki pani Jalcowcovej.

Z czeskiego tłumaczył  
RUDOLF JANICEK  
Ilustrowała JANINA BIALA

FILHARMONIA ŚLĄSKA  
w Mariąńskich Łaźniach

W CHWILI gdy piszę te słowa, upłynęło już nieco czasu od koncertów Filharmonii Śląskiej z Katowic a mimo to echo jej występów, jak miałem sposobność się przekonać, jest w Mariąńskich i Franciszkowach Łaźniach wciąż bardzo żywe. I to, zarówno echo wrażeń artystycznych, jakie stały się osiągnięciem zespołu jak i echo tego zespołu, jakie pozostawili po sobie poszczególne członkowie orkiestry. Ta młoda ze względu na datę swego powstania orkiestra wciąż działa z takim samym przedzielnym, dzięki świeżości swego, jakby nie zawodowego, temperamentu, dzięki sumienności i polotowi, udowadniając, że przez swą wytrzymałość słusznie zdobyła zaszczyt reprezentowania muzyki polskiej za granicą.

O koncercie w Mariąńskich Łaźniach nie można pisać inaczej, jak tylko z szacunkiem i respektami. Zespół udowodnił przede wszystkim, że posiada wszelkie warunki i właściwe podejście do interpretacji muzyki współczesnej. Tę już był pierwszy punkt programu koncertu Bolesława Szabelskiego. Jest to utwór pomysłowy po mistrzowski i po mistrzowski skomponowany, równy w swoim wyrazie, posiadający szeroki oddech symfoniczny utwór w którym imponuje orkiestrowi wysiłku twórczego i jego rozmach. Złazszcza soczyste i pełne brzmienie smyczków wykazywało odpowiednie przygotowanie orkiestry i bezbłędne walory wykonawcze. Strawniejszego „Ognistego plaka” prowadził Karol Stryja według wyraz-

lory orkiestry i dyrygenta, prowadzącego wszystkich utwory z pamięci, osiągnął swój sukces.

Cały zespół mimo rażąco niekorzystnych warunków akustycznych starał się o jak najlepsze brzmienie tych niezwykle popularnych utworów repertuaru światowego, w których tak duże znaczenie ma subtelność brzmienia, a trzymanie tempa i rozłożenie akcentów dynamicznych.

Nie też dziwne, że i tutaj publiczność nie kwapiła się do wyjścia po dwóch bisach, wykonanych tak samo jak poprzedniego dnia niezwykle blisko i z ogromnym temperamentem.

Na międzynarodowym festiwalu muzyki w Mariąńskich Łaźniach polską kulturę muzyczną zaprezentowała jeszcze para młodych artystów — pianistka Regina Smandzianka i dyrygent Filharmonii Pomorskiej w Bydgoszczy Robert Satoński. Nie przesadzę jeżeli napiszę, że do ich wielkiego sukcesu przyczyniło się znaczące wrażenie, jakie pozostawił wśród słuchaczy swoimi koncertami Filharmonia Śląska z Katowic.

Polaka muzyka i polscy artyści, na tegocznych festiwalach w kapeliach zachodnich Czech zdobyli zasłużone laury i poważnie przyczynili się do dalszego wzajemnego poznania i zbliżenia naszych dwóch zaprzyjaźnionych narodów.

Dr Vladimir Solta









**C**oż za przedziwne przeznaczenie ma to nieszczęśliwe Dreżno — powiedział mi młody Niemiec, gdy na tarasie Luisenhofu pokazywał mi miasto, jeszcze pokryte różową mgłą, ale już odważnie tu i ówdzie obnażające swoje straszliwe rany.

— Przeznaczenie? — zapytałem. — Czy sądzi pan, że ów trzynasty lutego 1945 roku, gdy na miasto kapł góry fosfor, to nie innego jak tylko niewidome przeznaczenie, straszne fatum?

— Tak nie sądzę. Niewątpliwie los III Rzeszy był losem jak najbardziej zasłużonym. Szkoda tylko, że najgłębiej obeszli się on z Dreżnem, miastem sztuki. Mimo to nie widzę logicznych powiazan między winą a karą, Dreżnu wymierzoną. Dlatego mówię o przeznaczeniu.

— Wojna nie uznaje praw logiki. Owocem tej abnegacji był naloł na Dreżno. I chyba na tym też kończy się to, co nazywa pan „przeznaczeniem”.

— Bynajmniej! Miasto zaczęło się odbudowywać. Tam, gdzie kiedyś palił się fosfor, od gruzów „w wyrwach” w murach zakwitł bez.

— Błusnie. Tym razem bez gruzów i ja użyję słowa „przeznaczenie”: miasto przeżyło jest życie.

— Ojka rozmowa zaczęła się w westchnieniami. Życie w Dreżnie nie było w tym samym, w jakim wyznaczała jej niemieckie przagnienia. Odbudowywać Dreżno z gruzów, miasto zniszczone tak straszliwie, że nawet widok powojennej Warszawy — co prawda jedynie ze względu na inną technikę niszczycielską — działał krępująco, to znaczy czynić to z rozważą, której przecież nie brak niemieckim budowniczym. Co odbudowywać? Najpierw? Sztukę? Mieszkańców? Sklepy? Fabryki? Zieleń? Piękno miasta czy jego żywotne funkcje? Joachim Winckelmann, ośmiennastoletni historyk sztuki, nazwał Dreżno „Atemami miłośników sztuki”. Trzeba więc było oddać sprawiedliwość dawnej wielkości Dreżna w tej dziedzinie i dlatego jednym z pierwszych obiektów, którym przywrócono urodę i życie, był Zwinger. Powróciła tu już ze Związku Radzieckiego słynna, niezwykle bogata Galeria Malarstwa. Zwinger żyje, a na jego dziedzińcu znowu obejmują się, jak w Parzyżu, zakochane pary, fotografują się całe rodziny, błądzą jego krągankami zamysłeni starcy.

Tyle ludzi przewija się codziennie przez Zwinger! Nie wszyscy są dreżnienkami, ale większość z nich mieszka w Dreżnie. Jak mieszka? Otóż to. Wobec tego trzeba budować domy mieszkalne, zabudowę Dreżno, ponieważ historia sztuki i teatru niezapomniane są jak sen kaboty, w którym nic się nie dzieje prócz gry luster.

Idę byłem tam przed trzema laty, na Starym Rynku pokazywano mi kilka spojonych z kamienic. To był zaczątek parku. Pamiętam, że wdrymali się wtedy. Tych kilka kamienic, żywcom przeniesionych z naszej MDM, przetrzyło istocie oddawny.

Wprawdzie budowniczowie nowego Dreżna oświadczyli, że nie będą postępowali tak samo, jak to uczynili budowniczowie warszawskiego Starego Miasta, że nie stać ich na to, a poza tym ludzie uzyskają muza mieszkanka nowoczesne, miasto, wygląd współczesny — ale przecież nie tylko rekonstrukcja nawiązuje do tradycji, od czegoś są przeróżne stylizacje, których także nie brak w Warszawie, które na terenie NRD zatrzymowały zwłaszcza w Roetocku, tyczyliwie przyjęte przez wszystkich. Dyskutowano o tych sprawach również i w Dreżnie; i dlatego teraz Stary Rynek, już obciążony domami, uratował coś nieoż z tradycji. Po prostu zmieniono plany odbudowy w czasie robót, kilkomu szczególną „ratującą” tradycję, która zrazu pominięto.

— Z Altmarku na Zwinger jest bardzo blisko. Teraz jest jeszcze bliżej, ponieważ między architekturą Zwingera a Altmarku nie ma tej przepaści, jaka mogła zaistnieć, gdyby cały Rynek zmarnotwóżył w znak u secesji.

A więc są i domy, nowoczesnie wyposażone wewnątrz, są sklepy równie bogate co w Berlinie, i jest koloryt wieków, subtelne odbity w liniach architektonicznych, przydany frontonem kamienic.

Wciąż jednak jeszcze dawne biega tutaj martwymi wami. Zardzewiałe furtki, które otwiera wioda

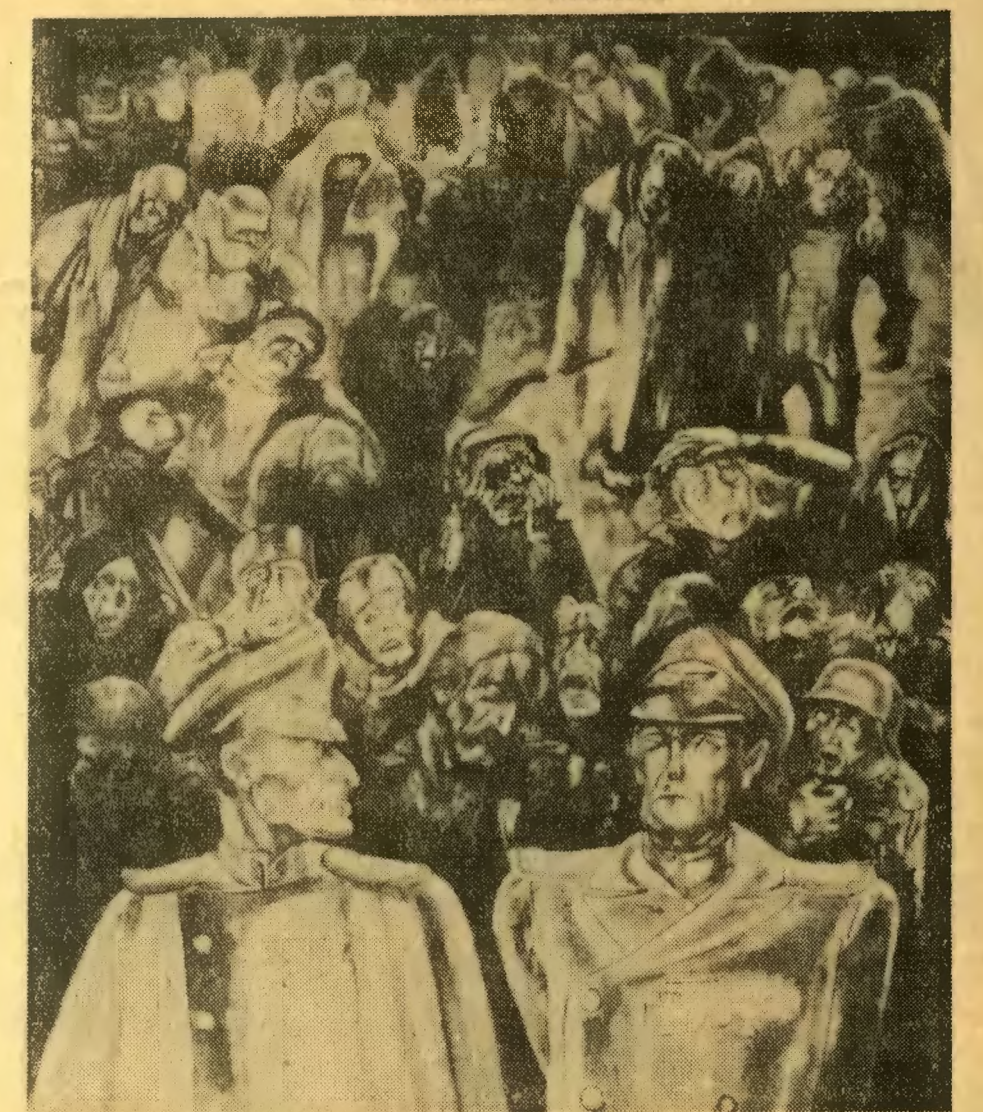
na usypiska gruzu, obficie porośnięte do powojennej Warszawy, która wznosiła ku niebu osmałone kikuty domów, Dreżno zostało jak gdyby przyklepane gigantyczną łopatą, zamiast ruin widział się jedynie kupki cegły i kamieni. Teraz na kopcach tych jest zielono wesoło, kolorowo i brzęcząco — trzmielie krają od lodgry do lodgry. Biegają obok tych kopców ciche, asfaltowe uliczki, każda z nich jak zapamiętana z historii via Appia ma swój osobliwy aromat. Może nie czują go stali mieszkańcy Dreżna, którzy do zapachu fosforu nalkali się zapachu bżów ale obcy przwysz łatwo odróżnia zapach jednej ulicy od drugiej. Błądząc z zamkniętymi oczyma po Dreżnie mógłby powiedzieć, gdzie szalał fosfor, a gdzie krzychały zwykłe bomby.

Tego dnia, w którym młody Niemiec kładł mi w uszy słowo „przeznaczenie”, postanowiłem pójść do teatru by usłyszeć, jak polska „Halka” zawodzi niemieckimi słowy dla publiczności niemieckiej. Niensadzwężne to było przedstawienie, choć z taką pieczołowitością przygotowane. Nie chcę twierdzić, że sztuka wykształcona na mrocznej epice wagnerowskiej z trudem przyjmuje rzewna lirykę słowiańska. Coś z prawdy musie jednak być w tym przypuszczeniu, ponieważ wykonawcy „Halki” drożdżenskiej śpiewali po swojemu interpretowali fakty i zdarzenia, dziejące się na scenie: jeżeli były lzy, to lzy

Wielkie Szeuzyk

# FOSFOR, BEZ I ATOM

KORRESPONDENCJA WŁASNA  
TRYBUNY ROBOTNICZEJ



Lea Grundig: Armia i generałowie pod Stalingradem (z cyklu „Nigdy więcej”).

miświe i niecace zemste, jeżeli był taniec, to taniec ciężki, marszowy niemal w swej rytmice.

— Ale ponad te szczegóły, które raczej powinny zainteresować teoretyków opery, wzbijał się i tutaj okrzyk, tyczyliwie afirmujący życie! Temu miastu przeznaczone jest żyć, kapąć się w życiu, w tak różnorodnych formach pojawiających się na obolalej tkance Dreżna.

**W**EISSER Hirsch, czyli „Biały Jeleń”, jest twórcą dzielnicą Dreżna, która prawie nieknięta wysła z wojny i dziś ciągle prezentuje podróżnemu dawną dośtojność i bogactwo, mieszczańską zasobność i rozrzutność, piękno swego położenia. Południowy brzeg Łaby przylega tutaj do wielkiego zbroca, porośniętego obficie wybranym lasem, które dalej na zachód łączy się z winnicami Loessnitz. Zbrocze to oblepione jest domkami i willami, wcepiły się w jego grzbiecie sanatoria; dziś jeszcze wiele z nich jest w posiadaniu osób prywatnych ściągających kuracjuszy z całych Niemiec. Uliczki tutaj biega karkołomnymi zakolami, a najdłuższa z nich, Platteille, pedzi od południowego krańca lasu, aż na sam brzeg Łaby, po drodze zamienia się w stutukudziesięciostopniowe schody, nie szczedząc nam różnorodności.

Na Weisser Hirsch dawniej



Usuwanie ruin na Starym Rynku w Dreżnie

Wielkie Szeuzyk

KORRESPONDENCJA WŁASNA  
TRYBUNY ROBOTNICZEJ



Lea Grundig: Armia i generałowie pod Stalingradem (z cyklu „Nigdy więcej”).

jeździło się po powietrzu, do kąpieli lub na dobre wino, podawane tutaj dziś jeszcze z pietymnem, godnym nadreńskich hoteli. Teraz wystarczą mi kilka godzin spaceru po tej dzielnicy, usapanowanej przez wojnę. Kiedyś już tutaj byłem. Szukałem wówczas domu pewnego wielkiego niemieckiego pisarza, który stąd patrzył na zagładę Dreżna; miast opłakując śmierć miarza był ostatnim utworem, który wyszedł spod jego pióra. W rok później pisarz ten umarł na Dolnym Śląsku w polskim Jagniatowie. I teraz mieszkają tutaj pisarze i artyści. Max Zimmering, znany już także czytelnikom polskim, napisał tutaj dużą powieść o klasie Dreżna. Malarze Hans i Lea Grundig stworzyli tutaj cykl wstrząsających płócien, w których atmosfera dantejskiego piekła wywołuje wyraźne oskarżenie: Oto jest faszyzm. Oni też, jako pierwsi malarze niemieccy, mieli odwagę uwiecznić na swych płótnach grozę hitlerowskiego rasizmu, pokazali bohaterstwo Żydów w getcie warszawskim. Warto wspomnieć także, że tę część Dreżna upodobał sobie duński pisarz Andersen Nexø; tu powstała większość jego powieści o dalekiej ojczyźnie, tu żyje po dziś dzień wśród pamiatków i książek jego wdowa.

— Niech pan nie zapomni — powiedział mi młody Niemiec w Luisenhofie — odwiedzić barona Manfreda von Ardenne, To dzisiaj najciekaw-

szą osobistość Białego Jelenia. Baron Manfred von Ardenne! Ależ tak, nazwisko to nie było mi obce. Zabłysło ono na szpalach gazety — z jakiegoż to jednak powodu? Po dość długiej wędrówce skojarzyłem wreszcie barona z atomami. Świetnie, pomyślałem, poznałem już robotników i chłopów, rybików z Hiddensee i górników z Schwarze Pumpe, działaczy

partyjnych i artystów, kelnerek i aktorów — trzeba będzie poznać również i pana barona.

Pan baron Manfred von Ardenne jest jednak baronem wielce demokratycznym z przyjemnością, choć jest bardzo zajęty, przyjmuje odwiedziny, pozwala obejrzeć swoje laboratorium fizyki stosowanej, jedynie w swoim rodzaju na terenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej ponieważ jest ono własnością prywatną pana barona, przyjmujące oczywiście zamówienia państwowe.

Pan baron jest młodym, wysokim mężczyzną. Podobno ma lat pięćdziesiąt, wygląda jednak młodziej. Bardzo przystojny, więcej ma ze znanego aktora Curda Jurgensa niż z uczonego. W roku 1945 dostał się na gruzach Berlina do niewoli radzieckiej. Już wtedy miał poważny dorobek naukowy, znany był szeroko poza granicami Niemiec. Całe dziesięć lat żył w Związku Radzieckim. Z czasem przyjechała doń również rodzina z Niemiec. W roku 1955 powrócił do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Tymczasem kilku jego dawnych współpracowników montowało w Dreżnie przy Platteille w czterech prywatnych willach pierwsze maszyny i urządzenia nowego laboratorium barona. Współpracownicy działali ściśle według jego wskazówek, które przekazywał im w listach. Gdy wrócił do kraju z całym swoim doświadczeniem, nawet ów pancerny, nowoczesny rycearz, stojący w hallu jednej z will, odbył drogę z Berlina do Moskwy i z Moskwy do Dreżna w stanie nienaruszonym — można było od razu zabrać się do roboty.

Na ścianach wiszą dyplomy i fotografie. Uczcił barona rząd III Rzeszy wysokimi nagrodami i premiami w roku 1938 i 1941; obok tych dyplomów wisi radziecki dyplom, stwierdzający, że baron von Ardenne za wybitne zasługi na polu fizyki i atomistyki uzyskał w roku 1953 premie stalinowską. Nie bez kokieteryj w rzędzie tych dokumentów znalazło się świadectwo odesłania z gimnazjum w Tempelhofie; było to w roku 1922 i młody baron musiał odejść ze szkoły bez matury, ponieważ nie dopuszczono go do niej ze względu na niedostateczne wiadomości z matematyki i fizyki. Jest więc wielki uczony niemiecki niejako samoukiem.

Wybaczenie, że nie opisałem Wam zasług Instytutu Badawczego pana barona. Nie mówiliśmy o tym wiele. Być może, że obowiązuje tu tajemnica państwowa; zresztą nie jestem fachowcem i tak tym wiele z tego niewątpliwie nie zrozumiał. Interesował mnie ten Instytut jako zjawisko naukowe i społeczne zarazem, a sam jego twórca jest osobistością zbyt znaną i cenioną, żeby spojniać z nim nie zaliczyć do rzędu szczeżeńskich szaleńców. Z tego, co mi tam opowiadano, więcej utkwiła mi w pamięci wyprodukowana tu na zasadzie elektronowej detywistyka wiertarki, usuwająca ból przy tak zwanym borowaniu, niż cały skomplikowany mechanizm nowoczesnych urządzeń, projektowanych przez uczonego.

Od roku 1955, czyli od czasu gdy zjechał do Dreżna ten znany badacz i uczonec, Dreżno, „Atemi miłośników sztuki”, zaczęło coraz bardziej nabierać charakteru miasta badań jądrowych. A oto w tych dniach przyszła wiadomość z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, że w Dreżnie stanie pierwszy reaktor atomowy w tym państwie. Nawet krótki pobyt w mieście wystarczył, by przekonać się, że w tej dziedzinie miasto istotnie uzyskuje jakąś nową, nieprzewidywaną przez historię funkcję i rangę. Wprawdzie już dawniej nauki techniczne prosperowały tu znakomicie obok sztuki. Uniwersytet z wszystkimi jego funkcjami humanistycznymi był w niedalekim Lipsku, a w Dreżnie królowała Politechnika oraz — Akademia Sztuk Pięknych. I dzielił współzycie tych dwóch, wydawałoby się niezwykle odległych dyscyplin jest kontynuowane, Dziwna, ciekawa tradycja!

Ponieważ jednak „przeznaczeniem” tego miasta jest życie i dalszy, nieprzerwany rozwój — tradycja ta przyjmuje nowe formy rozwojowe i chyba zdecydowanie ona także o dalszej odbudowie i rozbudowie Dreżna. Fosfor zburzył miasto piękne po mieszczańsku bogate. Dziś w tym mieście dreżnienscy uczeni ujarzmiają atom.



# Powódź

BARBARA KNOLL

**T**o, co tu opowiem, zdarzyło się naprawdę, historia ta będzie więc po prostu reportażem. Imiona jednak i nazwiska jego bohaterów musiałam zmienić. Będzie to bowiem opowieść prawdziwa o sprawach ludzkich serc i ludzkich uczuć, zbyt intymnych, aby je bez zamaskowania podawać do wiadomości publicznej. Z tych samych względów ukryłam nazwę miasteczka, gdzie się to dzieje. Wierciecie mi, że mogło się to zdarzyć w każdym niemal małym miasteczku, tonącym ciągle jeszcze w powodzi klerykalizmu przesądów „rodowych” i zabobonów. I że czasem prawdziwa powódź, oprócz niszczycielskich skutków przynosi uboczne następstwa — staje się, jak każde wielkie niebezpieczeństwo, katalizatorem ludzkich uczuć i poglądów na sens życia.

## TRAGEDIA KRYSY

**K**rystę zauważyłam zaraz na początku mego pobytu w N., bo też i trudno było jej nie zauważyć. Była taka śliczna... Odbijała jaskrawo nie tylko na tle żeńskiej połowy mieszkańców N., nie słynącej na ogół ze zbyt urodziwych dziewcząt. Krystę zauważyłoby się wszędzie. Smukła, zgrabna, z krótko ostrzyżoną na „chryzantemę” ciemną główką i blizzczącymi błękitnymi oczyma, zwracała uwagę wdziękiem i płynnością ruchów. Wcale się nie dziwiłam, że chłopcy miejscowi popielni dla niej różne szaleństwa.

Ktoregoś dnia, na rynku w N. byłam świadkiem takiej awantury: Krysta szła spokojnie trotaurem, kiedy przystąpiła do niej jakaś starsza kobieta i zaczęła ją lżyć, nie przebierając w wyrazach. Dziewczyna nie odpowiedziała na zaczepki ale w jej oczach widziało było rozpaczę i gniew. Zainteresowała mnie ta scena. W N. nie trudno się dowiedzieć plotek o ludzkich sprawach.

Było to tak: Zakochał się w dziewczynie Marian Banas, kleryk z seminarium duchownego. W końcu zrzucił sutanę i postanowił się z Krystą ożenić. Nie było to przedsięwzięcie łatwe. Miał przeciwko swym zamiarom cały liczny klan Banasiów. Małżeństwo N. nie uznaje równości ludzi ani wobec prawa, ani wobec Boga. Istnieją tam rodziny, które się „liczą”, i do nich należą Banasiowie. Krysta pochodziła z ubogiej rodziny, uważanej przez miejscową arystokrację za „niedobrego”. Fakt, że urodziła — jak mówiły kumoszki — młodego księcia świadczył w mniemaniu plotkarek, że opinia ta jest całkowicie uzasadniona. Prawdopodobnie młody był się gorszo, gdyby uwodziłką była brzydka, a za to zasobniejsza w trwałe dobra materialne — tradycja ta przyjmuje nowe formy rozwojowe i chyba zdecydowanie ona także o dalszej odbudowie i rozbudowie Dreżna. Fosfor zburzył miasto piękne po mieszczańsku bogate. Dziś w tym mieście dreżnienscy uczeni ujarzmiają atom.

Nie było mowy o tym, aby

młodzi mogli dostać w N. ślub kościelny. Po skandalu z opuszczeniem przez Mariana seminarium duchownego miejscowi księża nie dały mu ślubu za nic w świecie. Chociaż więc młodzi byli wierzącymi katolikami, zdecydowali się poprzestać na ślubie cywilnym. Urzędnikiem stanu cywilnego w N. był jeden z licznych stryjów pana młodego. Nie miała walki wewnętrzna stoczyć ten biedny człowiek, gdy młodzi zaopatrzeni we wszystkie potrzebne dokumenty, zażądali ślubu. Bał się jak ognia zemsty — klanu Banasiów. Ale w końcu był urzędnikiem i ślubu odmówić nie mógł. No cóż, pobrali się w końcu.

Fakt ten wstrząsnął nieco opinią publiczną miasteczka, ale — o dziwo — Banasiowie nie bardzo się nim przejęli. W N. wśród miejscowych potentatów, tuczących się corocznie na licznie zjeżdżających do pięknej miejscowości wesołowiczach, ślub cywilny jest uważany za coś zupełnie nie wiażącego. Banasiowie nawet się uspokoiłi. Chłopak otrzymał od dziewczyny to, czego pragnął, uspokoił się, i potem będzie można z nim rozsądnie rozmawiać.

Marian mieszkał nadal z rodzicami, a Krysta ze swoją rodziną. Nikt w całym miasteczku, gdzie pełno było wolnych pokoi dla letników, nie wynająłby młodym jakimś pomieszcciem dla rozpoczęcia wspólnego życia. Słuchał więc Marian ciągle rodzinnych wykładów na temat rzekomej nie ważności ślubu cywilnego i swobody, jaką w mniemaniu rodziny nadal dysponował. Każda ciotka i krewna powtarzała to samo. — Jesteś wolny, ślub cywilny to tak jak rejestracja psów. — Pierwsze odzienie zmysłów minęło, trudności i niewygodny taki rozdziałego pożycia małżeńskiego zaczęły doskwierać. Ktoregoś dnia oznamił Kryście, że wyjeżdża na Śląsk, szukać jakiejś pracy. O powrocie nie miałgłosie, o sprowadzeniu żony także niepewnie.

W potokach ulewnej deszczu — na małej stacye w N. stałam pewnej czerwcowej niedzieli obok Krysty. Ja odbierałam męża, ona Mariana. Żegnał się z nią chłodno. Nie był chyba pewien, czy rzeczywiście do niej wróci. Dziewczyna nie płakała. Czekała do ostatniej chwili na jakiś dobre słowo z jego strony. Nie dojechała się. Zanim pociąg odjechał, odwróciła się na pięcie i odeszła. Chłopak chciał coś do niej krzyknąć, wychylił się, ale pociąg ruszył.

Późnym wieczorem, przemoknięta do nitki i trzęsąca się ze zderzenia z dotarłam do domu. W kucnie u gospodyni zastałam babkę wiec. Kobiety, podenerwowane, żadne co raz to nowych sensacji, co chwila wpadały ze świeżymi najcieśniej nieprawdopodobnymi wieściami. Przybyła właśnie kuma z wiadomością, że ksiądz wydał poświęconą sól i pospiano nią wezbrane nury rzeki. Odetchnęły z ulgą — teraz rzeka się cofnie.

## POWÓDŹ

JAWNOGRZESZNIC

**28** CZERWCA zaczął lać deszcz i padał bez przerwy całą noc i cały dzień następny. Znużona siedzeniem w ciastym pokoju wybrałam się do znajomych. Przechodząc koło rzeki, zdumałam się. To już nie warka pływająca rzeka płynęła szeroką doliną — ale jakaś Mississippi czy Amazonka, olbrzymia, nieokiełznana i groźna. Kawałki domów, budy psie i inne szczerki niesione przez wezbrane fale, świadczyły, że żywioł już gdzieś buszował, narobił krzywd i nieszczęść... Kiedy około 20-aj zabrałam się do powrotu, okazało się, że mam odcieciać drogę do miasta. Szosa wijąca się wzdłuż rzeki zalana była wodą. A szosa była położona znacznie wyżej, niż nadzwyczajne łaki, na których pobudowano wiele domów. Tam powódź szalała już w najlepsze.

Brodząc z trudem w ciepłej, mulistej, na szczęście nie porwistej toni zaczęłam przebijać się ku miastu. Wokół mnie rozciągały się widoki znane mi dotychczas tylko ze zdjęć filmowych. Woda zalala okoliczne domy na metr wysoko. Wszędzie ludzie gorączkowo wynosili dobytek z niższych kondygnacji na piętra. Wyprowadzano bydło z obór, ratowano jakieś pierzyny i obozaki. Na skrajce rzeki, gdzie nagle wznosiła się ona w łaską sytuację była tragiczna. Mała chatynka, podmyta potęgą falą chwiała się w posadach. Jacyś starsi ludzie, prawdopodobnie właściciele, ratowali gorączkowo mizerny dobytek, wynosząc go się dało na stryszek i dach domu. Ale ludzie, którzy gdzie indziej pomagali ofiarom powodziom w ratowaniu sprzętów i dobytku, tutaj nie ruszyli nawet palcem, aby dopomóc dwójgu starym ludziom rozpaczyli waliącym z żywiołem.

Nagle grupa kobiet zwartym tłumem ruszyła ku chacie. Nareszcie jakaś pomoc... Ale co to? Gromada ludzka stanęła parę metrów od do-

mu. Posypały się krzyki i przekleństwa: To twoja wina, ty przeklęta suko! To ty sprowadziłaś na nas powódź! Za twoje grzechy Bóg nas karze, a rzeka się mści!

Gdyby nie fakt, że wokół małej chatynki woda była naprawdę wezbrana i porwista, gromada pięćmił wygrażających pięściłm ściągających prawdopodobnie starą kobietę z dachu i kto wie, czy nie byłaby świadkiem jakiegoś krwawego samosądu.

— Co się tu dzieje? — pytałam otaczających.

— Przecież to Warzelicha — odparł ktoś.

Warzelicha jest miejscową jawnogrzesznicą. Mówią, że przed 30 czy 40 laty jako 16-letnia dziewczyna utopiła nieślubne dziecko w wezbranych wiosną falach rzeki. W N. wierzyli w świątce, że za karę za tę zbrodnię rzeka wystąpiła z brzozy i zalewała domostwo morderczyni. Bóg nierychliwy ale sprawiedliwy — więc kara za grzech może nastąpić i po wielu latach. Przy okazji powoził przypomniało sobie w N. o krzącących przed laty plotkach. Plotki te były tym prawdopodobniejsze, że i dalsze jej życie było gorszące. Wysłała wprawdzie potem za mąż, ale owdowiały, odbiła męża jakiejś innej kobiecie i żyła z nim na wiarę. Chłop widocznie miał powody do rozwoju i w końcu go uzyskał zawierając z wdową cywilny związek małżeński. Wszelako całe N. nie uznawało tego związku i uważało Warzelichę za parę bezprowitną dla nieba straconych, zatwardziały grzeszników.

Chatka Warzelichy została się jakimś cudem grozie żywiołu. Chyba tylko dzięki przebieczy nocy na dachu, starzy „grzesznicy” nie dostali się w ręce rozjuszonego tłumy. Słyszałam, że postanowili sprzedać resztę dobytku i wyprowadzić się z miasteczka, gdzie opinia publiczna czyniła ich odpowiedzialnymi za żywiołową katastrofę...

Późnym wieczorem, przemoknięta do nitki i trzęsąca się ze zderzenia z dotarłam do domu. W kucnie u gospodyni zastałam babkę wiec. Kobiety, podenerwowane, żadne co raz to nowych sensacji, co chwila wpadały ze świeżymi najcieśniej nieprawdopodobnymi wieściami. Przybyła właśnie kuma z wiadomością, że ksiądz wydał poświęconą sól i pospiano nią wezbrane nury rzeki. Odetchnęły z ulgą — teraz rzeka się cofnie.

## POWÓDŹ

AZAJUTRZ rzeka

powoli zaczęła się uspokajać. Nikt oczywiście nie upatrywał przyczyny tego zjawiska w nastaniu pogody. Po prostu — sól święcona pomogła i koniec.

Dopiero po tygodniu ruszyła normalna komunikacja kolejowa. I wtedy, idąc kiedyś zalaoną już słońcem, wysuszoną drogą, po której niedawno brodziłam po pas w mulistej fali, zobaczyłam Krystę i Mariana. A więc wrócił!

Powrót Mariana stał się nową sensacją miasteczka. Odechła ostatnim pociągiem przed zerwaniem mostu i szalał z powrotem. Do trości o Krystę o bliskich dołączyły się jeszcze żal i wyrzuty sumienia, że być może z własnej winy utracili żonę. Krysta mieszkała z matką, tuż nad rzeką, w małym, bardzo zagrożonym przez powódź domku. Oczyma wyobraził widział ją tnącą w wezbranych falach rzeki i zrozpaczoną przeklinając chwilę swego jazu. Tych kilka dni męki i niepokoju uświadomiły chwilę nemi chłopakowi, że bardzo kochał tę swoją dziewczynę i że bez niej życie pozostawione jest jakiegokolwiek uroku.

Wrócił, ale już nie jako wykończony byłby księżyk, człowiek bez zawodu i bez pieniędzy. Których mu rodzina oczywiście odmówiła. Miał już pracę w jednej ze śląskich kopalń. Było się więc o co zaciepić i gdzie skłonić głowę. O ile Krysta zgodzi się na wybaczyć i przyjechać, to zaraz postara się o meble na raty. W nowym miejscu pracy spotkał się z życzliwością i zrozumieniem. To właśnie koledzy widząc je go ratować i niepokój narażony pokój i obiecali podzirować weksle na zakup mebli.

Krysta i Marian są więc teraz na Śląsku. Podobno już się jako tako urządził. A chociaż mieszkają wśród hałd, kurzu i w naszym nieatrakcyjnym, tęsknią chyba do N. ze wszystkimi jego urokami ale i z zalewem przesądów, plotek i zabobonów, łamiących ludzkie szczęście.



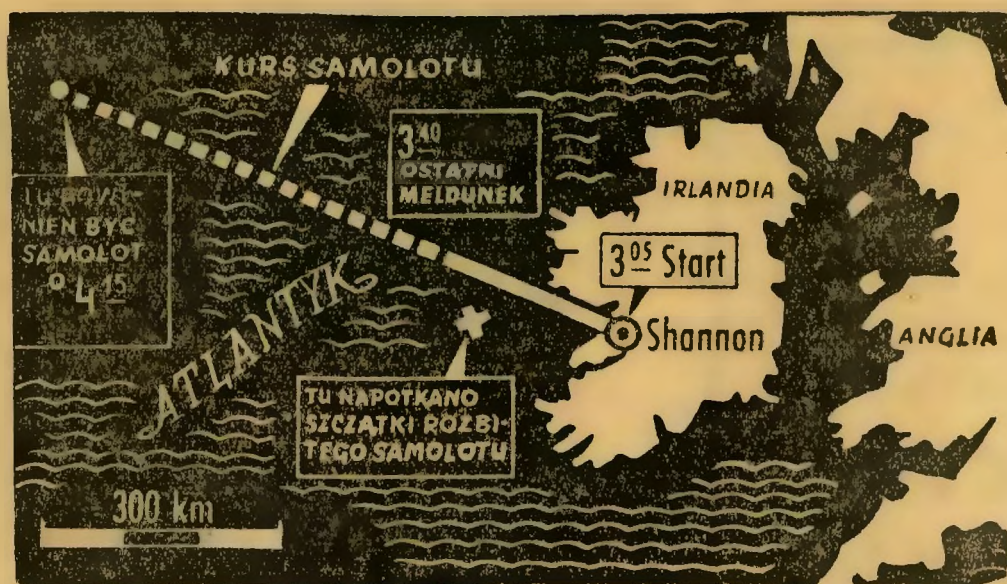
W połowie sierpnia wydarzyła się tragiczna katastrofa samolotu KLM nad Atlantykiem, która pociągnęła za sobą 99 ofiar, a wśród nich 4 pasażerów polskich. Doniesienia podane przez radio i prasę uzupełniamy obecnie informacjami zawartymi w artykule na ten temat opublikowanym w hamburskim tygodniku „Der Spiegel“.

Mineło 35 dni od wystartowania transatlantyckiej maszyny typu Super Constellation z portu przelotowego Shannon w Irlandii. Kapitan samolotu noszącego nazwę „Hugo de Groot” — Roelofs zgłosił się zgodnie z przepisami na krótkiej fali 120,9 kiloherców. Swoją raport nadany o godz. 3.40 z Greenwichego zakończył słowami: „zamelduję się znowu”.

Ale od tej pory kapitan Roelofs milczał. Zgodnie z międzynarodowymi przepisami w sprawie bezpieczeństwa lotu winien on się zgłosić najpóźniej po godzinie 12.30, a o godz. 4.40. Przepisy bezpieczeństwa nakładają na pilotów obowiązki meldowania się w pół godziny po wystartowaniu nad Atlantyk, a następnie najpóźniej co godzina i meldunki odbierane są przez stacje bezprzewodniowe lotu bądź w Shannon bądź w Gander (Nowa Fundlandia). I chociaż milczenie „Hugo de Groota” powinno było spowodować interwencję jednej z tych stacji — nie podjęto z tego żadnych kroków. Do 10.30 w 13.55 minut później miało miejsce o godz. 14.15 czasu Greenwich okrętu na Atlantyku wezwane zostały do udania się na miejsce wypadku i szukania rozbitków.

#### NIEBEZPIECZNE UNOWOCZESNIENIE

Dlaczego się tak stało? To bynajmniej nie z powodu uszkodzenia którejś z części stacji bezpieczeństwa lotu. Iskrowki działały zupełnie normalnie. Normalnie — to znaczy wśród nieustannych zakłóceń, które w latach nad północnym Atlantykiem uchodzą właśnie za normalne. Kontakt krótkofalowy nad tą częścią Atlantyku natrafia na tak częste przeszkody — twierdzi wielu fachowców — że byłoby szaleństwem alarmować okręty za każdym razem



## HUGO de GROOT NIE ODPOWIADA

gdy jakiś samolot się nie zgłasza. Reguła jest, że jeśli jakiś samolot traci ten kontakt krótkofalowy ze stacją na ziemi wskutek zakłóceń atmosferycznych to jednak wcześniej, czy później znowu się zgłasza.

Ta słaba strona komunikacji krótkofalowej między samolotem i stacją na ziemi pochodzi — brzmi to w istocie jak paradoks — z pewnego, technicznego unowocześnienia, dokonanego zresztą w pełnym porozumieniu, a nawet na zalecenie międzynarodowej organizacji lotniczej ICAO (International Civil Aviation Organisation). Mianowicie przed mniej więcej dwoma laty wiele towarzystw lotniczych (linie holenderskie KLM — w 1957 r.) przedstawiło swoje iskrowki całkowicie z telegrafu na telefon iskrowy. W tym nowoczesnym systemie kapitan samolotu porozumiewa się bezpośrednio z ziemią bez

użycia tradycyjnego alfabetu Morse'a.

#### MELDUNKI NIEJASNE

Z tej to właśnie przyczyny „Hugo de Groot” nie miał równie jak w swym poprzednim locie już w tych warunkach telegrafisty. Kontakt z ziemią utrzymywał wyłącznie kapitan Roelofs. Ten nowy system zdawał do tej pory egzamin na wszystkich trasach i jest niewątpliwie korzystniejszy. Tym niemniej w wypadkach niebezpieczeństwa bardziej niezawodny wydaje się alfabet Morse'a. Przede wszystkim dlatego, że telegrafista pracujący na krótkofalowej może jeszcze oświadczyć, że nie ma sygnału, natomiast pilot, który nie ma sygnału, nie może mieć tej pewności w odniesieniu do telefonu iskrowego.

Niejedn raz już okazało się, że piloci na maszynach transatlantyckich nawet ważnych informacji o sytuacji w atmosferze nie są w stanie przyjąć wad dostatecznie dokładnie przy użyciu tej nowoczesnej aparatury. I zdarza się też, że te samoloty — należące do nich m.in. maszyn KLM oraz Pan American World Airways — które przestawiły się całkowicie na telefon iskrowy i w związku z tym nie posiadają telegrafisty tracą na pewien czas całkowicie kontakt z ziemią. Ale instancje bezpieczeństwa lotu nie uważały tego stanu za niebezpieczny.

Toteż i w wypadku „Hugo de Groota” nie uderzyły owe stacje na alarm gdy na pewien czas zamilkł obowiązkowe meldunki kapitana Roelofsa. Stacja w Shannon ograniczyła się zrazu do poinformowania okrętów przez iskrowkę nadbrzeżną.

„Valentia Radio”, że samolot linii holenderskiej nie zgłasza się. „Valentia Radio” przekazała tę informację o godz. 6.10 — a więc w trzy godziny po odlocie maszyny z Shannon na międzynarodowej fali SOS, to jest na długości 500 kiloherców. Ponieważ jednak ten meldunek nie zawierał żadnych danych co do pozycji zagubionego samolotu, a także nie apelował o pomoc — kapitanowie okrętów znajdujących się w tym czasie na północnym Atlantyku zmuszeni byli potraktować ten meldunek rzeczywiście jedynie jako informację. Co więc dalej? Już 20 minut później „Valentia Radio” zdemontowała swoją poprzednią informację podając, że kontakt został przywrócony.

#### „I FAŁSZYWE

Ten meldunek nie odpowiadał jednak faktom. Wynikł z pomyłki do dziś jeszcze nie wyjaśnionej, pomyłki, która w kłopotliwa została później przez gazety jako tragiczna, jako że odwiekła akcja ratownicza. W istocie jednak ta pomyłka była bez znaczenia dla akcji ratowniczej, którą ewentualnie w tym czasie mogły podjąć okręty. Bowiem gdy w niespełna 3 godziny później o godz. 9.16 „Valentia Radio” sprostowała ten błąd, nie nastąpiło znowu nic co mogłoby skłonić okręty do podjęcia akcji ratunkowej.

Co prawda w kilka godzin po ostatnim meldunku z samolotu KLM wyruszyły z wybrzeża angielskiego i amerykańskiego samoloty na poszukiwanie zagubionej maszyny. Ich zadaniem było ustalić położenie „Hugo de Groota” aby udzielić bliźszych informacji okrętom. Ale akcja samolotów pozostała bez rezultatu.

W rezultacie stacje bezpieczeństwa lotu zarówno w Shannon jak i w Gander nie podawały przypuszczalnego położenia tego punktu, co można było uczynić przynajmniej w

przybliżeniu na podstawie znanej szybkości samolotu holenderskiego i jego kursu. Kapitan Roelofs doniósł bowiem o godzinie 3.40 że jego samolot osiągnął o godz. 4.15 punkt odległy 750 km od Shannon. Maszyna zatem ulec musiała katastrofie na odległości mieszczącej się między punktem podanym o godz. 3.40 a przewidywanym na godz. 4.40. Chyba, że zawiadła aparatura telefoniczna i maszyna leciała bez szwanku dalej.

O godz. 11.16 „Hugo de Groot” powinien był zjawić się w Gander. Teraz nie było już złudzeń co do tego, że milczenie samolotu KLM nie wynikało z powodu zakłóceń w jonosferze, lecz że na trasie między Shannon i Gander, liczącej 3.200 km coś się musiało wydarzyć.

#### PO 2 I PÓŁ GODZINIE

W 2 i pół godziny na planowym terminie lądowania holenderskiej Super Constellation w Gander stacja Shannon przekazała przez „Valentia Radio” alarmujące meldunki SOS. Ale znowu nie podano nawet w przybliżeniu ewentualnej pozycji samolotu. I znowu kapitanowie okrętów nie mieli pojęcia gdzie szukać maszyny. Teoretycznie mogła się ona znaleźć w jakimkolwiek miejscu między Irlandią i Nową Fundlandią.

Dopiero o godz. 14.15 a więc dokładnie w 10 godzin i 35 minut od momentu gdy zamilkł „Hugo de Groot” — „Valentia Radio” podało, że „angielski parowiec zauważył części rozbitego samolotu w punkcie: 53 stopnie i 14 minut północ oraz 12 stopni zachód. I dopiero to raz wezwane zostały okręty, aby czym prędzej udały się na to miejsce i szukały rozbitków.

Ale bez względu na nieznaną zresztą do tej pory charakter wypadku — było to już „nie co” za późno. W wodzie o temperaturze za ledwie 12 stopni mogli rozbitkowie w kamizelkach ratowniczych utrzymać się przy życiu zaledwie 3 godziny i w rezultacie w miejscu podanym przez „Valentia Radio” pochowano 34 ofiary.

Ekspert nie wyklucza jednak możliwości, że kto wie czy część rozbitków nie mogłaby być uratowana, gdyby na pokładzie maszyny holenderskiej funkcjonował normalny aparat Morse'a. Ich zdaniem telegrafista zdążyłby jeszcze nadać meldunek wzywający o pomoc, a wyciągał ten wniosek z następujących przesłanek: okręty ratownicze znalazły m.in. dziecko, któremu założono kamizelkę ratowniczą. Gdyby na statku nastąpił upadek samolotu albo eksplozja — nie byłoby na to czasu. Niezmiennie jest również by dziecku założono kamizelkę przed rozpoznaniem niebezpieczeństwa jako że sprzeciwia się to zwyczajom przylotu w komunikacji transatlantyckiej.

Jeszcze jeden fakt zdaje się dowodzić, że katastrofa nie nastąpiła nieoczekiwanie, i że mogła w porę dostrzeżona niebezpieczeństwo. Tym faktem jest miejsce, w którym znaleziono resztki rozbitego samolotu: leżały one zaledwie w odległości 200 km od lotniska w Shannon. A przecież KLM-owski Super Constellation leci z szybkością 540 km/godz. i w momencie katastrofy — zegarek jedynego z pasażerów zatrzymał się na godz. 4.48 — powinna była znajdować o wiele dalej. Jakże stał można wysnuć przypuszczenia? Ekspert sądzi, że kapitan Roelofs zorientował się w niebezpieczeństwie zawrócił samolot z powrotem w kierunku Irlandii i starał się dolecieć do lotniska w Shannon.

Ale telefon iskrowy zawiadł, a aparaty Morse'a na pokładzie nie było.

Opracował: A. S.

JEST 21 po-  
dzielone przez 7?  
— zapytał pewien  
dziennikarz... tu-  
sta biała kura, a  
ta natychmiast od-  
powiedziała pukając trzy razy  
dziobkiem w dużą flaszkę. Ale  
mało tego... Równie dobrze  
mogłaby się uczonej kurki za-  
pytać jaka cyfra podniesiona  
do kwadratu daje 16, a kurka  
natychmiast cztery razy stuk-  
nęłaby swym dziobkiem...  
Czyżby jakiś geniusz matema-  
tyczny tkwił w białości koki-  
koszki? Bynajmniej — to ty-  
ko trick. I nie to zaskoczyło  
owego dziennikarza, lecz czas,  
w którym nauczono przedsta-  
wicieli kurzego rodu pod-  
stawowych działań matema-  
tycznych, czas zastanawiający  
krótki — 15 minut.

Powinno być po pierwsze znany  
zwierzęciu, po drugie należy  
zgodnie z zasadami, a nagrodzenie  
zwierzęcia, przez co następuje  
zwolna utrwalenie danego sy-  
gnału w pamięci tresowanego.  
Tak więc, jeśli chcąc, aby  
pies przybiegał do was na

wykorzystali naukę Pawłowa  
o „odrzuchach warunkowych”  
i przyswoili sobie umiejętność  
nie tylko wytwarzania takich  
odrzuchów w tresowanych zwier-  
zętach, ale także ich  
utrwalanie. Zwierzę przy tym  
uwaga, iż bodziec światła ze-  
wnętrznego, ów sygnał wywo-  
łujący odruch warunkowy,



musi być po pierwsze znany  
zwierzęciu, po drugie należy  
zgodnie z zasadami, a nagrodzenie  
zwierzęcia, przez co następuje  
zwolna utrwalenie danego sy-  
gnału w pamięci tresowanego.  
Tak więc, jeśli chcąc, aby  
pies przybiegał do was na

zwisające ziarno w korytku, a  
tym samym dając sygnał prze-  
wania dziobania. W ten sposób  
kura może nauczyć się, że od-  
mowa i odmowa, albowiem nau-  
czyła się... dziobać we flaszkę...  
Na tym przykładzie przed-  
stawiliśmy — tresowania prze-  
stały w ogólnych rysach — me-  
todę zwierząt przez Brelandów,  
metodę, która przyniosła im  
międzynarodową sławę i wiele  
kontaktów i kontraktów z  
ogrodami zoologicznymi, cyr-  
kami czy nawet studiami tele-  
wizyjnymi całego świata.

#### INDYKI W ROLI MASZYNISTÓW

Brelandowie udowodnili, że  
niektóre zwierzęta są znacznie  
mądrzejsze, niż się przypusz-  
cza, na przykład indyki. Aby  
nauczyć dwa indyki obsługi  
kolejki dziecięcej, zamontowali  
po obu stronach toru specjalne  
uchwyty. Gdy indyki pociągły  
za taki uchwyt pociąg jechał,  
a mijając skrzynkę z pokar-  
mem, lokomotywa naciskała  
kontakt, co powodowało spa-  
danie ziarna do korytka. To  
zmuszało ptaki do ustawicznego  
pociągania za uchwyty, ku  
wielkiej radości przyglądają-  
cych się. Ale wkrótce okazało

## Kurzy mózdzek czyli główka pracuje

raz 23 różnych gatunków, docho-  
dząc przy tym do zupełnie nowych  
odkryć w dziedzinie psychologii  
zwierząt. Stosując je każdy może  
swoje zwierzę domowe u siebie  
tresować, nie oddając ich w obce  
ręce.

#### FARMA CUDÓW

Farma Brelandów przy Hot  
Springs w stanie Arkansas  
rozciąga się na przestrzeni 100  
ha. Można tam zobaczyć indyki  
obsługujące mają kolejkę,  
tresowane świnię zbierającą  
brudną bieliznę i wrzucające  
ją do specjalnego kosza i  
owierzcę, towarzyszącą wszę-  
dzie Brelandom niezłym pies.  
Ale nie sądzicie, że Brelando-  
wie ograniczyli się jedynie do  
zwierząt domowych. Również  
i dzikie stworzenia pobierają  
u Brelandów naukę. Oto 13,  
któremu wynagrodza wcale nie  
rosną za sukcesy, gdyż zawsze  
potrafił je osiągnąć, delfiny  
grają w piłkę, szopy, w koszy-

zawolanie, musicie go wpierw  
nauczyć, aby łączył dźwięk  
waszego głosu automatycznie  
z nagrodą, z jakimś smako-  
ludziem. Gdy tylko zwróci on głó-  
wę w waszą stronę, zwołajcie go  
i obdarujcie przysmakami.  
Powtarzając to dostatecznie  
często, przeciągając sygnał  
tak długo, aż wreszcie pies pro-  
stnie, że musi przebiec całą dro-  
gę do was, zanim otrzyma  
swoją premię. Po wielokrot-  
nych ćwiczeniach, jego reakcja  
na wasz głos, będzie już tak  
automatyczna, „sterowana”,  
że na każde zwołanie przybie-  
gnie natychmiast.

#### KOKOSZKA Z UNIWERSYTECKIM WYKSZTAŁCENIEM

Teraz możemy przystąpić do  
wyjaśnienia triku z kura. Po  
prostu wyobraźcie sobie elek-  
tryczny aparat do karmienia  
drobiu. Po naciśnięciu guzika,  
rozlega się brzęczenie, a ziarno  
wpada do korytka. Dla kury to  
brzęczenie stało się oczywiście  
sygnałem wywoławczym. Te-  
raz obok tego aparatu, jakieś  
trzy metry dalej postawiono  
dużą białą flaszkę. Zadaniem  
eksperymentatora było przy-  
swajanie kurkom polecenia  
„podejść do flaszki i uderz  
nią dziobkiem, tyle razy, ile  
ja sobie będę życzył”.

Doświadczanie rozpoczęło się od  
naciśnięcia guzika aparatu. Ziarno  
wpadło do korytka i kura roz-  
poczęła dziobać. Gdy skończyła  
zaczekała „na jeszcze”. Ekspery-  
mentator też czekał. W momencie gdy  
kura chciała już odejść — naci-  
snął guzik, znowu brzęczenie i znowu  
ziarno wpadło do korytka. W za-  
dłużeniu krótkim czasie kura  
polała, że jedynie otrzymuje zaw-  
sze w chwili, gdy zamierza odejść  
od korytka. Później nauczyła się  
oddalać w kierunku flaszki, co  
było zresztą rzecz prosta. Brzęcze-  
nie odbywało się tylko wtedy, gdy  
kura odchodziła zgodnie z polece-  
niem. I tak krok za krokiem, aż  
kura zaczęła uderzać dziobkiem  
w flaszkę. Teraz należało jeszcze  
utrwalić ten bodziec i stworzyć ko-  
rta. Kura uderzała bez przerwy  
dziobkiem w flaszkę, a tylko od  
eksperymentatora zależało, by w  
odpowiednim momencie nacisnąć  
guzik i spowodować brzęczenie.



kówkę, a króliki wrzucają  
srebrne monety do skarbonki.  
Oczywiście, że istota tresury  
Brelandów polega na nagro-  
dzie, ale przecież sama premia  
nie można dojść do takich re-  
zultatów — dowcip polega prze-  
de wszystkim na tym, by wie-  
dzieć, kiedy ją zastosować, w  
jakim momencie. Brelandowie

## SS - mann kandyduje do bawarskiego parlamentu

Te głosy odezwały się w  
Niemczech zachodnich m.  
in. w związku z wstąpien-  
ciem nowego kandydata ba-  
warskiej CSU do bawar-  
skiego Landtagu. Kandyda-  
tem jest niejaki Peter  
Pruecklmayer, — 40-letni  
Pruecklmayer pochodzi z  
miejscowości Hallertau po-  
łożonej między Monachium i  
Regensburgiem, miejscowo-  
ści znanej szeroko z uprawy  
chmielu. Pruecklmayer zaj-  
muje się jednak nie tylko  
uprawą chmielu, ale także  
handluje bydłem i końmi.  
Jego obroty sięgają rocznie  
z górą miliona marek dzie-  
ki czemu bogaty Prueckl-  
mayer posiada szerokie sto-  
sunki.

Chmiel, chmiel. Ale  
Pruecklmayer znany jest je

szcze lepiej ze swojej daw-  
nej kariery: ostatecznie spę-  
dził on w obozie koncentra-  
cyjnym w Mauthausen spo-  
rą część życia jako kapo. Do-  
szedł zresztą do tego „za-  
szczytnego” stanowiska po-  
przez wiele sześciu hille-  
rowskiej kariery. Już w  
1935 r. znalazł się w SS, w  
1939 wstąpił do „Waffen SS”  
i stał jako SS-scharführer  
wydawał wkrótce w po-  
tomnym obozie śmierci, a  
człowieka jako ten, który tą  
śmiercią szafował.

Hamburski tygodnik przy-  
pomina przy okazji o po-

twornościach jakie dawał  
się w Mauthausen, o maso-  
wym mordowaniu Żydów i  
tym podobnych okropno-  
ściach. „Ale CSU — pisze  
„Der Spiegel” — nie przy-  
szło nawet na myśl, że jest  
co najmniej politycznym nie-  
smakiem wysuwać w cha-  
rakterze deputowanego ka-  
dydaturę chociażby „najpo-  
rządniejszego” kapo z obu-  
zu koncentracyjnego”.

Pruecklmayer jest przy-  
tym tak bezczelny, że nie  
zawahał się stwierdzić pu-  
blicznie, że jest jego stosu-  
nek do Żydów „Bardziej  
szczerzy — powiada SS-  
owski kandydat do bawar-  
skiego Landtagu — widzę  
liśmy przecież wszyscy, że  
w owym czasie Żydzi byli  
rozstrzeliwani”. Zresztą spo-  
rą rację w tym jest i może  
właśnie dlatego jego po-  
poleczność nie są tak bardzo  
krytyczni. Na wszelki wy-  
padek jednak oświadczili  
oni przez usta jednego z  
wyszych przedstawicieli  
bawarskiej CSU Aloisa  
Klughammera, że „bezgra-  
nicznie tym wyborem nie są  
zadowoleni”.

Tak czy inaczej oślawio-  
ny SS-mann i kapo z obu-  
zu w Mauthausen figuruje  
na liście kandydatów, któ-  
rzy reprezentować będą  
mieszkańców Bawarii w ba-  
warskim parlamencie. (st)

## Rząd włoski boi się skandalu

Skandal, zresztą już  
wybuchł, chodzi tylko  
o to, jak mu „za-  
radzić”. Rzecz doty-  
czy „spółki bankow-  
ców”, o której dła-  
lałość donosił mi-  
nisterstwo. Spółka przeprowa-  
dziła tajne machinacje finan-  
sowe, opierając się na prze-  
mianach od różnych osobisto-  
ści oszczędności w zamlan za  
bardzo wysokie sięgające nie-  
raz 100 proc. (i), odstęki. „Dy-  
rektor” owej spółki GIUFFRÉ,  
który działał głównie za pośred-  
nictwem księży i instytucji re-  
ligijnych — potrafił mimo wy-  
płacania niezwykle wysokich  
odsetek jeszcze gromadzić ol-  
brzymie kapitały.

Otóż wśród oskarżonych przez  
prasę znalazł się m. in. minister  
finansów, a obecny minister  
skarbu, ANDREOTTI, jako czo-  
wiak, któremu wszystkie wa-  
żne, a niekiedy i zaskakujące  
machinacje nie były ponoć nie-  
znane.

Afera znalazła się obecnie na  
forum rządowym i była tem-  
tem ostatniego posiedzenia ka-  
binetu. Zrazu wydawało się, że  
rząd poprze wysunięty przez  
opozycję projekt utworzenia  
specjalnej komisji parlamentarnej,  
która zajęłaby się dochodzenia-  
mi w sprawie afery. Tymczasem  
komunikat z posiedzenia rządu  
nie wspominał już o tym ani  
słowa, mimo poprzednich mia-  
rodajnych niejako pogłoszek.

Okazało się mianowicie, że  
kampania w sprawie odpowie-  
dalności politycznej (i nie tyl-

ko politycznej) w związku z  
tym skandalem finansowym po-  
pierała była zrazu przez sekre-  
tariat partii chrześcijańsko-de-  
mokratycznej, na której czele  
stał premier Fanfani, dopóki  
wydawało się, że uderzy ona w  
pozytywnie jednego z głównych  
przeciwników Fanfanego we-  
wnątrz partii chadeckiej: we  
wspomnianego już wyżej mini-  
stra Andreottiego, będącego za-  
razem przywódcą prawicy par-  
tyjnej. Gdy jednak Andreotti do-  
konał zrzeczenia uniku w swych  
oficjalnych na ten temat enun-  
cjacjach, a ponadto — i to rzecz  
najważniejsza — dał do zrozumie-  
nia, że może zostać ujawniona po-  
ważna odpowiedzialność innych  
ministrów, w szczególności Me-  
dici i Tamborino, a także w  
dużej części samej partii chře-  
ścijańsko-demokratycznej — se-  
kretariat chadecki dokonał na-  
głej wolt. Postanowiono nad-  
to

„nowy kurs” całej sprawie i  
uspokoić opinie w obowie, że  
skandal nie zagroził istnieniu  
samego rządu.

Tym niemniej coraz więcej  
dzienników podejmuje ten dra-  
matyczny temat. Na łamach zwi-  
azanego z prawicą chrześcijań-  
skiej demokracji dziennika „Il  
Resto del Carlino” ukazał się ar-  
tykuł, w którym czytamy m. in.:  
„Komunikat rządu przewyżnia  
się jedynie do pozorowania smut-  
nych obrazów rozpadu politycz-  
nego i administracyjnego. Przy-  
znaje się mianowicie, że od ro-  
ku 1957 „gwardia finansowa”  
prowadziła dochodzenia w spra-  
wie afery Giuffrę nie wyciąga-  
jąc żadnych wniosków: że od  
stycznia 1958 roku „inspektorat  
kredytu” został wezwany do  
przeprowadzenia dochodzeń, nie  
wykrył on jednak niczego... I  
gdyby przypadkowo na czele  
ministerstwa finansów nie zna-  
łał się deputowany z Emilii,  
gdzie działał głównie Giuffrę  
(chodzi o ministra Preti, socjał-  
demokrata, który jako jeden z  
pierwszych ujawnił skandal —  
przyp. nasz) prawdopodobnie mi-  
nisterstwo finansów nadal jesz-  
cze nie znalazłoby holnego pana  
(tj. Giuffrę) — przyp. nasz),  
który polecał umieszczać tablice  
pamiątkowe ze swym nazwi-  
skiem na kościołach i klaszto-  
rach i zbierał miliardy przyrę-  
kając zyski w wysokości 100  
proc. Czy zatem o państwo wo-  
skim można powiedzieć, że jest  
państwem dobrze rządzonej i  
dobrze administrowanym — mo-  
gą osądzić sami czytelnicy”.



Tak wygląda przysuszone lądowanie na falach Oceanu. Zdjęcia przedstawiały katastrofę samolotu Super Constellation, która miała miejsce 17 października 1956 r. nad Pacyfikiem. Wówczas wszyscy pasażerowie samolotu uratowali — przez znajdujących się w pobliżu ratowników. Niestety „Hugo de Groot” nie miał takiego szczęścia w nieszczęściu.

Ryż, M. Kryszczyński





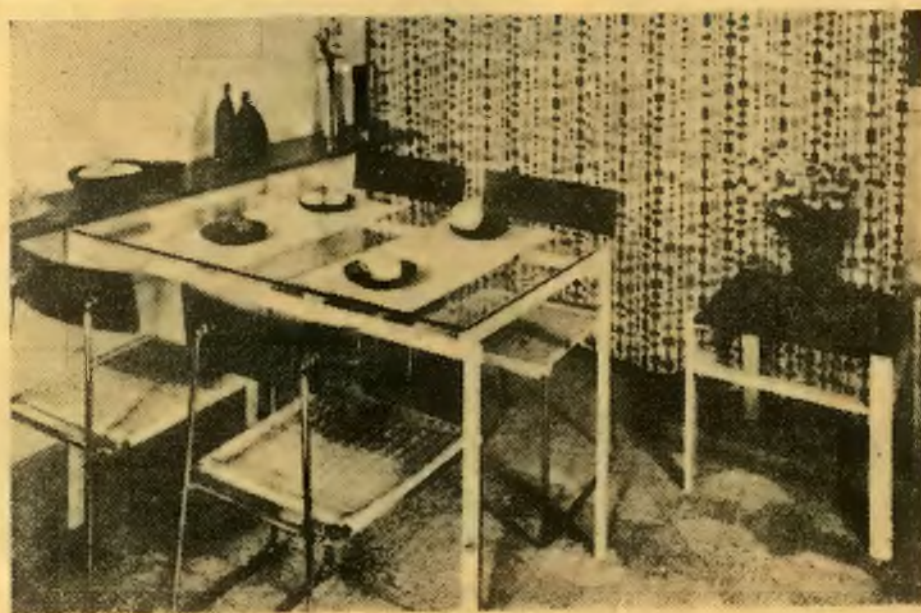
# Męski Prochowiec

JAKI nie powinien być: długi do kostek, w kolorze kha-ki (wojskowym), sztywny, z pagonami, z wą-  
tówkami, z gabardyny,

z raglanem typu skrzy-  
delka, z paskiem nie za-  
piętym wiszącym z bo-  
ków, z kołnierzem ze  
smutnymi rogami zwisa-  
jącymi w dół.

Jaki powinien być:  
krótki do kolan lub  
przed kolana, zupełnie  
miękki, ze spadzistymi  
ramionami, dwurzędowy  
z paskiem, lub jed-  
norzędowy ewentual-  
nie z dragonem z tyłu.  
Może być: stebnowa-  
ny, z karczkiem typu  
zaokrąglona pelerynka,  
z paskiem wiązany  
z przodu na węzeł —  
pomimo kłamy.

Do prochowca: gola  
głowa, kapelusz z ma-  
łym rondkiem lub czap-  
ka z daszkiem. Modniej  
jest bez szalika (wtedy  
biała koszula i ciemny  
krawat). Długie dość  
wąskie spodnie. Bardzo  
szykowny jest parasol.  
(h)



## POWIEDZ MI JAK MIESZKASZ

UŁATWIAMY życie  
gospodyni domu, szan-  
ujmy jej czas. Jak  
wiemy w obecnym tem-  
ple życia jest bardzo  
szybko i sprawnie pod-  
awa nie posiłków, dla-  
tego trzeba jest, gdy  
stolik jadalny znajduje  
się w pobliżu kuchni, w  
jej wnętrzu lub też w  
sąsiedztwie. Nasze s-  
dzenie tak wygodne dla  
gospodyni urządzenie  
kuchni jadalnego w  
kuchni.

## DZIANINA

Jest to werna robiona  
maszynowo na zasadzie  
swetra. Bardzo modna,  
nadaje się znakomicie  
na nasz klimat. Komplet  
z dzianiny, podobny do  
tych obok na zdjęciu,  
nie w Polsce przez spó-  
dział nie dziewczarskie  
CPLIA.

Komplet zapinany z  
przodu jest biały w jasno-  
granatowe prążki, z dekol-  
tem w szpic. Są też ciem-  
noniebieskie, wiśniowe i  
w innych kolorach. Poka-

zywane były na pokazie  
handlowym p. „Ubiaramy  
się w CPLIA” i cieszyły się  
wielkim powodzeniem. Są  
bardzo wygodne, modne i  
praktyczne. Do nabycia w  
warszawskich sklepach  
CPLIA.

Dlaczego nie ma ich na  
Śląsku pozostanie tajemni-  
cą kierownictwa naszych  
sklepów CPLIA.

(h)



**S**A RÓŻNE typy wczasów: kajakowe, ro-  
werowe, bridżowo-dansingowe, wędrów-  
ne, wędkarskie, rodzinne. Jedni lubią  
namoty i wodę — więc na Mazury, inni  
góry i żeby nie trzeba było się myć —  
więc w Tatry. Niektórzy lubią się prze-  
bierać 6 razy dziennie i posiedzieć w kawiarni —  
więc do Sopotu, inni mogą się przebierać tylko  
5 razy dziennie, ale muszą jeść ryby — więc do  
Jastarni.

Ludzie wcielają na urlopie swoje całoroczne ma-  
rzenia: żeby mleko prosto od krowy albo żeby wód-  
ka silnie zamrożona, żeby się opalić na Murzyna,  
żeby schudnąć, żeby na łonie rodziny, albo na ło-  
nie natury. Chcą pograć w mocnej partii (tu stat-  
kówek, w brydża), marzy im się zielona łąka, szu-

## Jeszcze o urlopie

miący potoczek, innym tęskne calypso i czyjeś roz-  
marzone oczy.

Ruszą w wędrówkę z dziećmi i parakami, z gi-  
tarą i w sombrero, z walizkami pełnymi ciu-  
chów do pokazania lub książek do przeczytania,  
z najdroższymi sprzętami i najdroższymi wy-  
obrażeniami o tym, jak powinien wyglądać urlop.

Wszystkich łączy jedno: ABSOLUTNE PRZEKO-  
NANIE O WYŻSZOŚCI SWOJEGO STYLU SPĘ-  
DZANIA WZASÓW.

Jednym z elementów zadowolenia z urlopu jest  
silnie podjęta w rozmowach popada dla ludzi,  
którzy mogą robić na nim co innego niż my i w in-  
nej miejscowości.

Brydżyci kłują głowami nad wędkarzami, dan-  
singowicze nie mogą się nadziwić, jak można zbie-  
rać grzyby, autostopowcy nie pojmują, jak można  
siedzieć stale na jednym miejscu itd.

Ci od prymitywnego życia gardzą tymi od luksu-  
su i odwrotnie.

Najdziwniejsze jest jednak to, że ci sami ludzie  
wycinają hotubce na dansingu w Międzyzdrojach w  
przekonaniu, że to ich żywioł, a na drugi rok idą  
z plecakiem na wycieczkę i wypuszczają płomienne  
mowy przeciw lokalom rozrywkowym.

Szczególnie zabawne wygląda to na Helu, gdzie  
na wąskim pasku lądu znajduje się kilka bardzo  
podobnych miejscowości.

Takie same rybackie domki, takie same ryby, ta-  
kie same plaże. Ludzie nieustannie odwiedzają  
znajomych w sąsiedniej miejscowości i tłumaczą  
im, o ile gorzej wybrali. Urlopowicze w naszej  
miejscowości mają miłe, znane z widzenia twarze,  
plaża jest tu piękniejsza i spacerować ciekawiej. In-  
na miejscowość wydaje nam się hochsztaplerska  
i rozpustna, ludzie nie mili, atmosfera nie do wy-  
trzymania.

Jest i mały procent wiecznych malkontentów.  
Ale nawet oni w zetknięciu ze znajomymi z innej  
miejscowości zaczynają wychwalać rozkosze swo-  
jej.

Będąc fanatykiem pewnego stylu urlopu znajdu-  
jemy miejsce, w którym najlepiej możemy go upra-  
wiać, po czym zaczynamy tam stale jeździć.

Z sympatią oglądamy stare, znane kąty, tu po-  
malowali, tu plot postawili. Człowiek się przyzwyczai-  
ł i czuje się swojsko, poznaje miejscowe  
„chody”.

Ala potem znamy już okolice, nie chcemy nam się  
robić długich spacerów, zaczyna nas zwolna owie-  
wać leciutka nuda.

Nie mamy nowych wrażeń, miejscowość po kilku  
latach wydaje nam się „nie taka”, jakby nas coś  
zdradziło, coś od nas odchodziło, wolno starzejemy  
się na fali sentymentu.

A Polska duża i piękna, starczy miejsc urlopo-  
wych na całe życie! I podobno uszczęśliwić można się  
jakoś urządzić.

Przyrzeknijmy sobie: na przyszły rok zupełnie  
inny urlop!

HOFF

## POMYSŁOWY KOMPLET



Składa się z trzech  
części: wąskiej spó-  
dnicy, prostej bluzki  
i prostego lub pod-  
rzuconego na ple-  
cach żakietu.

Przyjrzący się  
dokładnie komple-  
towi na zdjęciu z  
łatwością zorientu-  
ją się, że to jest  
„człowiek”.

Naturalnie nie mu-  
si być dosłownie ta-  
ki fason.  
Spódnica, sawsze  
wąska i krótka, mo-  
że być z bryłów lub  
gładka.

Bluzka, może być  
z trzyczęściowymi  
rekawami, może  
mieć dekolt w szpic  
lub kołnierzyk.  
Żakiet może być  
na wstążce z fu-  
trzanym kołnierzy-  
kiem, może być z  
klapkami lub dwu-  
rzędowy.

Taka całość „urza-  
dza” znakomicie na  
Jesień. Uczyta z gru-  
bego materiału mo-  
że być noszona na  
codzień: z beretem,  
torbą na ramie i  
mokaszynami; na po-  
łudniu z czółen-  
kami i kapelusi-  
kiem. Zrobiona z  
ciemnego materiału  
tworzy komplet wi-  
zytowy: wtedy ko-  
rale, kwiat lub bro-  
szka, dłuższe ręk-  
awiczki, wieczorowa  
torebka (h)

Alekandra Korta

## Kosmetyka

### POURLOPOWE KŁOPOTY Z CERA

**K**AZDA pora roku wymaga  
nieco odmiennej pielegna-  
cji twarzy. Sezon letni mi-  
nał, nadchodzi jesień. Po-  
woli zaczyna znikać opalenizna  
i z niepokojem stwierdzamy, że  
skóra twarzy bardzo się wysu-  
szyła, stała się szorstką i gru-  
ba, a pod oczami pojawiła się  
sieć drobniutkich zmarszczek.

Jak przywrócić skórze gład-  
kość? O ile latem można było  
trochę zbagatelizować regularną  
pielegnację skóry, to obecnie na  
leży tym staranniej zabierać się  
do roboty. Każde zaniedbanie  
może być fatalne i trwać w  
skutkach.

A więc zmieńmy przede wszyst-  
kim sposób mycia twa-  
rzy. Wieczorem powinno ono wy-  
glądać następująco.

Na czysty tamponik watki, zmoc-  
nionej i wygniezionej w letniej  
wodzie, nakładamy nieco śmie-  
tanki kosmetycznej, kremu-zmy-  
wacza lub po prostu oliwy ja-  
dalnej (może być zmieszana z  
zółtikiem) i przecieramy nią całą  
twarz. Tamponiki zmieniamy tak  
długo, aż będą zupełnie czyste.  
Aby usunąć resztki brudu z twa-  
rzy, przecieramy skórę świeżym  
tamponikiem, zamoczonym w nie-  
koprocentowym lotionie, nalewce  
ogórkowej, lub esencji z herbac-  
ty, czy rumianku. Możemy również  
użyć wywaru z sieniienia lina-  
nego, zmieszanego pół na pół z  
mlekiem.

Rano należy spłukać twarz tył-  
ko zimną wodą. Ciepłej wo-  
dy radzę unikać, gdyż wzmaga  
nadmierne skucie, czyli ją jes-  
zcze bardziej szorstką i wrażliwą.

Wieczorem należy wmasować  
dobry, tłusty, odżywczy krem,  
a w miejscach, gdzie formuła  
się zmarszczyła, krem bardziej  
skłonny, hormonalny lub witami-  
nowy (Dobry byłby krem biolo-  
giczny, plażowy, mleczko paźdzela  
lub azulen, ale tu nasuwa się  
pytanie — kiedy wreszcie nasz  
przemysł kosmetyczny zacznie  
ich produkować?).

Raz w tygodniu należy nalo-  
żyć maskę. Najlepiej udać się  
do gabinetu kosmetycznego, ale  
można i sposobem domowym do-  
konać wszystkich zabiegów. Naj-  
lepiej w obecnym okresie będą  
maseczki owocowe, o których  
już pisałam, lub maseczki ze  
świeżych ziół. Rumianek, szalwia,  
skrzyp, brzoza, kwiat lipowy, li-  
ście brzozy, doskonale nadają się  
do stosowania okładów. Dobro  
pocięte zioła z dodatkiem jed-  
nej łyżeczki sieniemia lina-  
nego i mąki kartoflanej rozgotujemy  
na gęstą papkę. Ciepło nakłada-  
my na dobrze umytą i natłuszcz-  
oną twarz na 20 minut. Zmywa-  
my letnią, przegotowaną wodą.

A jeśli maquilage jest obce  
nie modny? Tylko jaśny  
puder (w zym gęście będzie u-  
stawianie opalenizny przy pomo-  
cy ciemnego pudru), jaśna  
pomadka do ust, bardzo dys-  
kretnie użyty róż, a tuł  
brwiowy delikatnie podkreślony.

Alekandra Korta





Ilustrował: J. MAREK

ROZDZIAŁ I

W obliczeniach był błąd. Nie przeszli nad atmosferą, ale zderzyli się z nią. Statek wbił się w powietrze z grzmiącym, od którego puchły bębniaki. Rozpłaszczeni na legowiskach czuli, dobieganie amortyzatorów, przednie ekrany zasłony płomieniem i zgasy, poduszka rozżarzone gazów, napierająca na dół, zatopła zewnętrzne obiektywy, hamowanie było niedostateczne i opóźnione. Sterownik napisał swad rozgrzaną gumy, pod prasą deceleracji ślepi i głuchli, to był koniec, ale nawet tego nie mógł żaden pomyśleć, nie starczyło wszystkich sił, aby unieść kłatkę piersiową, wciągnąć oddech, robili to za nich do ostatka pracujący filenopolistator, wchłazyli w nich powietrze, jak w pękające balony. Nagle gromot ucichł.

Zapaliły się awaryjne światła, po sześć z każdej strony, ludzie wili się, nad tablicą napędu czerwieniał sygnał alarmu, była pęknięta i zgnieciona w harmonie, kawały izolacji, okrzyki pleksyglasu z szelestem przesuwali się po podłodze, nie grzmiało, wszystko obejmował głuchy, rosnący gwizd.

— Co się... — wychrypał Doktor, wypluwając gumowy ustnik.

— Leżeć! — przestrzegł go Koordynator, który patrzył w ostatni nie uszkodzony ekran.

— Widziałem kiedyś w cyrku żywą kolumnę, pięciu ludzi, jeden na drugim — zauważył Doktor.

— To dla nas za trudne. Dostaliśmy się tam po podłodze — odparł Koordynator. Wziął od Chemika nóż i zaczął robić szerokie nacięcia w gąbczastej powłoce podłogi.

— Słownie?

— Tak.

— Dlaczego nie słychać Cybernetyka? — zdziwił się naraz inżynier. Siedząc na szczytkach potrząskanej tablicy rozrządowej, przykładł mały amperomierz do wyciąganych na zewnątrz kabli.

— Owdowiał — odrzekł z uśmiechem Doktor. — Czym jest Cybernetyk bez automatów?

— Jeszcze je nakreślić — rzucił Cybernetyk. Zaglądał w otwory wybitych ekranów. Elektryczny ogień powoli żółkł — stawał się coraz ciemniejszy i bliźszy.

— Akumulatory też? — mruknął Fizyk. Inżynier wstał.

— Tak wygląda.

Po kwadransie w głąb, a raczej w górę statku ruszyła sześciopiętrowa ekspedycja. Najpierw dostali się do korytarza, a z niego — do poszczególnych pomieszczeń. W kajucie Doktora znaleźli ślepa latarę — Doktor lubił mieć mnóstwo zbędnych na codzień rzeczy. Zabrali ją. Wszędzie zostali zniszczeni. Umieblowanie, przymocowane do podłogi, nie rozbiło się, ale z przyzwagów, narzędzi, pomocniczych wehikułów, zapasów utworzyła się jakaś nieprawdopodobna kasa, w której brodziło się wyżej kolan.

— A teraz spróbujmy wyjść — oświadczył Koordynator, kiedy na powrót znaleźli się w korytarzu.

— A skafandry?

— Są w komorze ciśnieniowej. Nie im się nie powinno było stać. Ale skafandry nie są potrzebne, Eden ma znośną atmosferę.

— Czy tu w ogóle ktoś kiedyś był?

— Tak, dziesięć albo jedenaście lat temu sonda kosmiczna z patroli poszukiwawczych, wtedy, jak zaginął Altair ze swoim statkiem. Pamiętacie?

— Ale z ludzi nikt?

— Nie, nikt.

Kłapa wewnętrzna służy znajdowała się skośnie ponad ich głowami. Dziwne pierwsze wrażenie, spowodowane tym, że po znanych pomieszczeniach szło się w całkiem nowej konfiguracji — ściany były teraz podłogami, a ściany ścianami — powoli mijano.

— Tu rzeczywiście nie obejdzie się bez żywej drabiny — orzekł Koordynator. Oświecił dokładnie kłapę latarą Doktora. Plama światła obszła ją dookoła. Kłapa przylegała hermetycznie.

— Wygląda niezłe — powiedział Cybernetyk. Stał z zadartą głową.

podtrzymywany przez towarzyszy, wlaź ostatecznie na wzniesioną piramidę i dotknął palcami korbę.

— Mało — powiedział. — Brakuje mi pięć centymetrów. Nie mogę podskoczyć, bo mi się wszystkie rozjeżdżają.

— Właśnie mam tu „Teorię Lotów Szybkości” — powiedział Doktor wając w ręku zwałisty tom. — Myślę, że będzie w sam raz.

Koordynator wczepił się w korbę. Świecił mu latarą. Jego cień lapał na białej powierzchni plastiku, wysiękającego się, co teraz było stropem. Naraz góra książek poruszyła się.

— Uwaga! — ryknął Fizyk.

— Nie mam się o co oprzeć — wyrzucił przez zduszone gardło Koordynator. — Trzymajcie tam — wszyscy diabli! — worknął. Korbę wywnękał mu się z rąk, przez moment ważył się na górę, w końcu chwycił równowagę. Nikt już nie patrzył na górę — spólszy się rekami, napierali ze wszystkich stron na chwiejną budowlę z książek, żeby się nie rozsunała.

— Tylko nie kłuj, jak raz zaczniemy, nie będzie końca — przestrzegł z dołu Doktor. Koordynator ponownie ujął korbę. Naraz rozległ się przeciągły grzyt, po którym nastąpił głuchy szum osuwających się łmów. Koordynator wisił nad nimi w powietrzu, ale korbę, której się uchwycił, wykonała pełny obrót.

— I tak dalej, jeszcze jedenaście razy — powiedział, ładując na książkowym pobojuwisku.

Po dwu godzinach kłapa została pokonana. Kiedy zaczęła się otwierać, wydali chórally okrzyk triumfu. Otwierając się, zawisała w połowie wysokości korytarza i utworzyła jakby poziomy pomost, po którym można było wejść do słuzy bez większych trudności.

Skafandry w płaskiej szafie ściennie znaleźli nie naruszone. Szafa leżała teraz poziomo. Stąpali po jej drzwiach.

— Wychodzimy wszyscy, czy jak? — spytał Chemik.

— Najpierw spróbujmy otworzyć wlaż...

Był zabity na głucho — jak gdyby stanął lita catość z korpusem rakiety. Dźwięnie nie dawały się ruszyć, ramie przy ramieniu parli w sześciu, potem próbowali rozruszać gwinty, więc miotali się na przetrącanie to w jedną, to w drugą stronę — ani drgnęły.

— Okazuje się, że dolecieć, to nie, najtrudniej jest czasem wysiąść — zakomunikował Doktor.

— Pogratulować humoru — mruknął przez zęby Inżynier. Pot zalewał mu oczy. Posiadali na drzwiach ściennych szafki.

— Jestem głodny — przyznał się w ogólnym milczeniu Cybernetyk.

— Wobec tego trzeba coś zjeść — oświadczył Fizyk i zaoferował się, że pójdzie do magazynu.

Rakieta przeokołkowała, jakby uderzył w nią taran, spowijające ich nylonowe siatki zagrały jak struny, przez chwilę wazyło się wszystko jak u szczytu huśtawki, zawisło do góry nogami, potem zadudniło.

Mieśnie, szezałe w oczekiwaniu ostatniego ciosu, obmiekły. Rakieta, stojąc na pionowym słupie wylotowego ognia, powoli schodziła w dół, dysze dudniły uspokajająco, trwało to kilka minut, potem przez ściany poszedł dreszcz. Wibracja stawała się coraz mocniejsza, łożyskowe zawieszania turbin musiały się rozchwiać. Popatrzyli na siebie. Nikt nie mówił. Wiedzieli, że wszystko zależy od tego, czy wirniki nie zatrą się, czy wytrzymają.

Cała sterownia zadygotała nagle, jakby z zewnątrz kuł w nią z szaloną szybkością stalowy młot. Gruba, wypukła soczewka ostatniego ekranu w mgotnieniu oka pokryła się gęstą pajęczyną pęknięć, jego fosforyczna tarcza zgasała, w padającym z dołu, młwym blasku lamp awaryjnych widzieli własne powiększone cienie na pochylonych ścianach, dudnienie przeszło w ciągły ryk, pod nimi coś chrobotało, łamało się, rozszarpało z żelaznym wżgłiem. Kadłub, wstrząsany potwornymi targnięciami, leciał oślepiony, martwy, skurczył się, wstrzymali dech, zupełna ciemność, chaos, ciała ich wystrzęśliły nagle na całą długość nylonowych lin, nie dosięgły potrząskanych tablic, o które by się rozpruły, zawisły skosem, kołyszac się wolno, jak ciężkie wahadła...

Rakieta prześliznęła się jak padająca góra, łoskot ten był daleki i tępy, wyrzucone bryły gruntu stały stukając, osunęły się po zewnętrznym pancerniu.

Wszystko znieruchomiało. Pod nimi szezały przewody, coś bulgotało przeraźliwie, szybko, wlaż szwyciel, szum uchodzącej wody, przemieszany z przenikliwym, powtarzającym się sykem, jakgdyby jakaś ciecz kapiała na rozpalone blachy.

— Żyjemy — powiedział Chemik. Powiedział to w zupełnej ciemności. Nie widział nic. Wisił w swoim nylonowym pokrowcu, jak w worku, zaczepionym z czterech stron linami. Znaczyło to, że rakieta leży na boku. Gdyby stała, posłanie byłoby poziome. Coś trzasnęło. Błady benzynowy płomik starej zapalniczki Doktora.

— Zalogą? — spytał Koordynator. Jedną liną jego worka pękła, wtrwał wolno, bezzadny i usłował bezskutecznie chwycić się czegoś wystającego ze ściany, wyciągając rękę przez oko nylonowej siatki.

— Pierwszy — powiedział Inżynier.

— Drugi — odezwał się Fizyk.

— Trzeci — głos Chemika.

— Czwarty — powiedział Cybernetyk. Trzymał się za czoło.

— Piąty — zakończył Doktor.

— Wszyscy. Gratuluje — głos Koordynatora był spokojny. — Automaty?



— Owszem — zgodził się Inżynier. Pomyślał, że potworna siła, która sprasowała nośne dźwigary tak, że przysła wpasowana między nie główna tablica rozrządowa, mogła zaklinować także kłapę, ale zachował tę myśl dla siebie. Koordynator rzucił okiem na Cybernetyka i już chciał mu powiedzieć, żeby pochylił grzbiet i ustawił się pod ścianą, gdy przypomniał sobie poskręcane żelastwo, które ujrzał w pomieszczeniu automatów i poprosił Chemika:

— Stań w rozkroku, ręce na kolana, tak będzie ci lepiej.

— Raczcie do kuchni. W chłodni może coś... — Sam nie da rady. Trzeba przerzucić z pół tony szmelcu, żeby się dostać do zapasów. Kto na ochotnika? Doktor był pierwszy. Chemik wstał z pewnym ociąganiem. Gdy głowy ich znikły za brzegiem odchylonej kłapy, a ostatni brząsk latarki, którą zabrali, znikł, Koordynator powiedział przyciszonym głosem:

— Wolałem nie mówić... Orientujecie się mniej więcej, jak jest?

— Tak — powiedział Inżynier w czarny mrok przed sobą. Dotknął wyciągającą ręką stopy Koordynatora i nie cofnął palców. Potrzebował tego styku.

— Myślisz, że kłapy nie da się przeciąć?

— Czym? — spytał Inżynier.

— Palnikiem elektrycznym albo gazowym. Mamu autogen, i...

— Słyszaleś o autogenie, który by przeciął ćwierć metra ceramitu? Człowieku!

— Milczeli. Z głębi statku, jak z żelaznych podziemi, dochodził głuchy hałas.

— Więc co? Co? — powiedział się zdenerwowaniem Cybernetyk. Słyszeli aktywnie jego stawał. Wstał.

— Siadaj — łagodnie, ale stanowczo powiedział Koordynator.

— Myślicie, że... kłapa stopiła się z pancernem?

— Niekoniecznie — odparł Inżynier. — Czy wiesz w ogóle, co się stało?

— Dokładnie nie. Trafiliśmy z kosmiczną szybkością w atmosferę tam, gdzie nie miało jej być. Dlaczego? Automat nie mógł się pomylić.

— Automat się nie pomylił. Myślny się pomylił — powiedział Koordynator. — Zapomnieliśmy o poprawce na ogon.

— Na jaki ogon? Co ty mówisz?

— Na gazowy ogon, który każda planeta posiadająca atmosferę, rozciąga za sobą w kierunku przeciwnym do jej ruchu. Nie wiesz o tym?

— A tak, tak. Wpadliśmy w ten ogon? Ale on musi być szalenie rozrzedzony.

— Dziesięć do minus szóstej — odparł Koordynator — albo coś koło tego, ale mieliśmy ponad siedemdziesiąt kilometrów na sekundę, kochany. Przyhamowało nas jak mur — to był ten pierwszy wstrząs, pamiętacie?

— Tak — podjął Inżynier — a kiedyś weszli w stratosferę, mieliśmy jeszcze dziesięć albo dwanaście. Powinna się była w ogóle rozciąć, dziwne, że wytrzymała.

— Rakieta?

— Obliczona jest na dwudziestokrotne przeciążenie, a zanim pękł ekran, na własne oczy widziałem, jak strzałka wyskoczyła ze skali. Skala ma rezerwę do trzydziestu.

Odpowiedziała cisza.

— Automaty!!

Milczenie. Zapalniczka poczęła parzyć palce Doktora. Zgasił ją. Znowu zapadła ciemność.

— Zawsze mówiłem, że jesteśmy z lepszego materiału — powiedział po ciemku Doktor.

— Czy ktoś z was ma nóż?

— Ja mam. Przeciąć liny?

— Jeżeli możesz wyleźć bez przecinania, to lepiej. Ja nie mogę.

— Spróbuj.

Dał się słyszeć odgłos szamotania, przyspieszony oddech, coś stuknęło, rozległo się zgrzytnięcie szkła.

— Jestem na dole. To znaczy, na ścianie — powiedział Chemik. Głos jego dobiegł z dna ciemności. — Doktorze, poświęć na chwilę, to wam pomogę.

— Ale spiesz się. Benzyna się kończy.

Zapalniczka znowu zabłysła. Chemik krztał się przy kokonie Koordynatora, mógł dosięgnąć tylko jego nóg. Wreszcie udało mu się odciągnąć częściowo boczny zamek błyskawiczny i Koordynator spadł ciężko na nogi. We dwóch pracowali szybko. Po chwili wszyscy stali już na skośnie przechylonej, wybitej podelastyczną masą ścianie sterowni.

— Od czego zaczniemy? — spytał Doktor. Zaczynał brzęczyć rany na czole Cybernetyka i nałożył na nią plaster. Miał go w kieszeni. Zawsze nosił przy sobie niepotrzebne rzeczy.

— Od stwierdzenia, czy uda się wyjść — odparł Koordynator. — Najpierw musimy mieć światło. Co tam? Już? Doktorze, poświęć mi tu, może jest prad w końcówkach tablicy, przynajmniej w rozrządzie sygnalizacji alarmowej!

Tym razem zapalniczka wykrzesła tylko iskry. Doktor pocierał kamyk, aż stał sobie skórę z palca, błąskając tuż nad szczytkami pogruchołanej płyty, w której grzebali kłęcząc Koordynator z Inżynierem.

— Jest? — spytał Chemik, stojący z tyłu, bo nie było już dla niego miejsca.

— Na razie nie. Nikt nie ma zapalaka?

— Ostatni raz widziałem zapalaki trzy lata temu. W muzeum — oświadczył niewyraźnie Inżynier, bo usiłował zębami oderwać izolację z końca przewodu. Naraz mała niebieska iskra oświeiliła złożone w muszlę ręce Koordynatora.

— Jest — powiedział. — Teraz jakąś żarówkę.

Znaleźli nie uszkodzoną w sygnale alarmowym nad boczną tablicą. Ostry elektryczny ogień oświeilił strop, jakby część wznoszącej się skosem rury tunelowej o stożkowych ścianach. Wysoko nad nimi, w tym, op było teraz stropem, widniały zamknięte drzwi.

— Ponad siedem metrów — powiedział melancholijnie Chemik. — Jak my się tam dostaniemy?

— Moim marzeniem było występować w cyrku. Zawsze — zapewnił go Chemik i pochylił się. Koordynator postawił mu stopę na ramieniu, wspiał się uniósł i przywierając do ściany czubkami palców, dosięgnął maczugowato zgrubiałej u końca, niklowej dźwigni.

Pociągnął, potem szarpał, nareszcie zawisł na niej. Wtedy poddała się z chrzęstem, jakby zamkowy mechanizm pełen był mialkiego szkła. Zrobiła ćwierć obrotu i stanęła.

— Czy ciągniesz w dobrą stronę? — spytał Doktor, który świecił z dołu latarą. — Rakieta leży.

— Uwzględniłem to.

— Nie możesz już mocniej?

Koordynator nie odpowiedział. Wisił na płask przy ścianie, uciepiony jedną ręką dźwigni. Powoli próbował dołączyć drugą rękę. Było to bardzo trudne, ale w końcu mu się udało. Wisiąc teraz jak na trapezie podkurczył nogi aby nie kopnąć skulonego pod nim Chemika, i targnął kilka razy, unosząc się na ramionach i puszczając całym ciężarem ciała, aż stęknął uderzając w rozmachu torsem o ścianę.

Za trzecim czy czwartym razem dźwignia poddała się trochę. Brakowało jeszcze z pięć centymetrów do końca jej drogi. Koordynator zebrał siły i raz jeszcze rzucił sobą w dół.

Dźwignia z piekielnym zgrzytnięciem stuknęła w zapadkę. Rygiel wewnętrzny był odsunięty.

— Poszło jak po maśle — cieszył się Fizyk.

Inżynier milczał. Wiedział swoje. Zabrali się teraz do otwierania kłapy, co było zadaniem trudniejszym. Inżynier próbował uruchomić ją naciągając rękojeść hydraulicznego urządzenia, ale wiedział z góry, że nic z tego nie będzie. Rury popękały w wielu miejscach i cały płyn wyciekł. Rączna korbka zaświeciła nad nimi swoim kółkiem jak aureolą, kiedy Doktor skierował latarę do góry. Jak na ich możliwości gimnastyczne było za wysoko — ponad cztery metry.

Zaczęło się znoszenie ze wszystkich pomieszczeń połączonych aparatów, poduszek, książek — szczególnie przydatna okazała się biblioteka, a w niej — atlasy gwiazdowe nieba, bardzo wielkie i grube. Budowali z nich piramidę, jak z cegieł. Wzniesienie dwumetrowego stosu zabrało niemal godzinę. Raz część obsunęła się i oddał zaczęli pracować systematycznie — pod komendą Inżyniera.

Praca fizyczna to jednak okropność! — dyszal Doktor. Latarą tkwiła wciąż w szczelnej klimatyzator i oświeiała im drogę, gdy biegli do biblioteki i wracali, objuczeni książkami.

Nigdy nie wyobrażałem sobie, że tak prymitywne warunki mogą panować w podróży do gwiazd — spał Doktor. On jeden jeszcze mówił. Na koniec Koordynator.

— A my?

— Co my?

— Jak mogliśmy wytrzymać? Chcesz powiedzieć, że była deceleracja trwała 30 g?

— Nie trwała. W szczytach na pewno. Przecież hamowanie dały wszystkie. Dlatego przyszło do pulsacji.

— Ale automaty wyrównały i gdyby nie sprężarki... — powiedział z odzieniem przekory w głosie Cybernetyk. Urwał, w głębi statku coś potoczyło się z brzękiem, jakby żelazne koła toczyły się po blasze. Ucichło.

— Co chcesz od sprężarek? — powiedział Inżynier. — Jak pójdziemy do maszynowni, to pokaże ci, że zrobili pięć razy więcej, niż mogli. To przecież tylko agregaty pomocnicze. Najpierw rozchwiało im łożyska, a jak przyszła pulsacja...

— Myślisz rezonans?

— Rezonans swoją drogą. Właściwie powinniśmy się byli rozgnarować na przestrzeni paru kilometrów jak ten frachtowiec na Neptunie — wiesz? Sam się przekonasz, jak zobaczysz maszynownię. Mogę ci z góry powiedzieć, co tam jest.

— Wcale się nie palę, żeby zobaczyć maszynownię. Co u licha, czemu oni tak długo nie wracają? Ciemno aż oczy bolą.

— Światło będziemy mieli, nie bój się — powiedział Inżynier. Wciąż, jakby niechętny, trzymał końce palców oparte o stopę Koordynatora, który nie ruszał się i milczał.

— A do maszynowni pójdziemy i tak. Z nudów. Co innego będziemy mieli do roboty?

— Na serio myślisz, że się stąd nie wydostaniemy?

— Nie, żartuję. Lubie takie żarty.

— Przestań — odezwał się Koordynator. — Po pierwsze jest rezerwowość wlaż...

— Człowieku! Rezerwowość wlaż jest akurat pod nami. Statek musiał się porządnie wrócić, nie jestem wcale pewny, czy nawet ta kłapa wystaje nad ziemię.

— Więc co z tego? Mamy narzędzia, możemy wykopać tunel.

— A wlaż ciężarowy? — powiedział Cybernetyk.

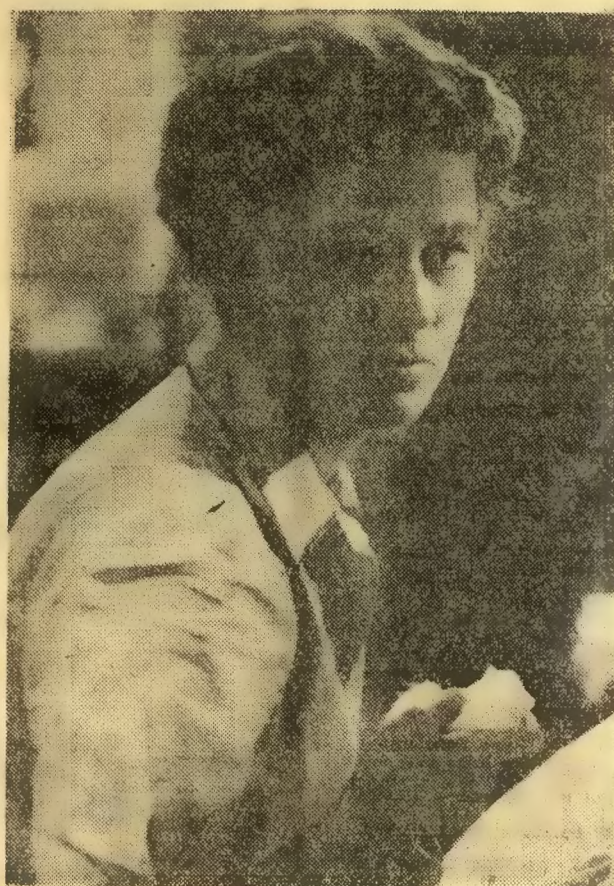
— Zalani — wyjaśnił lakonicznie Inżynier. — Zaglądałem do studzienki kontrolnej. Musiał pęknąć któryś z głównych zbiorników — tam jest co najmniej dwa metry wody. Prawdopodobnie skażonej...

— Skąd wiesz?

— Stąd, że tak jest zawsze. Chłodzenie reaktora puszczają pierwsze — nie wiesz o tym? Zapomnij lepiej o ciężarówce wlaż. Musimy wyjść tym — jeżeli...

— Wykopiemy tunel — powtórzył cicho Koordynator.

(Ciąg dalszy to poniedziałek)



H. Zembruška — w filmie „Wolne miasto”

# WOLNE MIASTO

N AWET ci, którzy mieli scenariusz i J. Szwarc paskiego nie wierzyli w możliwość zrobienia dobrego filmu

na temat Gdańska i słynnej obrony portu w 1939 r. Kieśkę przeprowadano tym bardziej, że reżyser Stanisław Różewicz zaangażował do filmu aktorów na ogół nieznanych i korzystał ze scenariusza napisanego przez debiutanta.

Tymczasem pesymizm się pomylił. Film Stanisława Różewicza pt. „Wolne miasto”, który w okresie produkcji nie miał tytułu „Początek gdański”, jest jednym z najciekawszych filmów polskich.

Sam temat nie był łatwy. Pokazać atmosferę pseudowolnego miasta, stworzonego przez hitlerowskie bojówki, na moment przed wybuchem wojny oraz zarysować postacie nieznanych Polaków, którzy wzięli udział w obronie portu w Gdańsku — to niesłychanie trudne zadanie. A jednak Stanisław Różewicz wybrał z tych trudności prawie bezbłędnie „Wolne miasto” to film naprawdę udany.

Obchodna uwaga należy do doskonałego wprowadzenia do akcji: napisy wyświetlane są na tle wyjątków z przedwojennych kronik filmowych. Dzięki temu widz, który jeszcze nie zobaczył filmu, zaczyna nagle mieć wrażenie, że za chwilę przed jego oczami rozegra się prawdziwy dramat „wolnego miasta”, oparty o autentyczne dokumenty.

Kronika filmowa przewija się jeszcze parę razy w ciągu akcji filmu, ale jest tak zręcznie zmontowana, że nie widać miejsca, gdzie zostały włożone autentyczne zdjęcia, a gdzie zrobiono później tzw. dokrętki. Bardzo przyjemnie jest pochwalić polskiego reżysera mogącego stwierdzić jednocześnie, że wykonał on wielką znajomość rzemiosła filmowego i praw da matury. Co więcej, dzięki reżyserowi doskonałe wypadły prawie wszystkie role aktorów. A już naprawdę wyjątkowo udaną postacią naziemnika poczytawaj Br. Dardziński. Jego naziemnik urzędu pocztowego to żywa, bar-

dro ludzka postać doskonale narysowana na ekranie.

Obok starożytności i młodych początkujących reżyserów scenarzysty chcieli pokazać miasto Gdańsk na parę dni przed wybuchem wielkiej katastrofy. Zadanie było bardzo trudne. Trzeba było pokazać nie tylko powstanie, ale i równocześnie zamykanie miasta, że druga wojna światowa tam w Gdańsku była już nie do powstrzymania. Tam mogło zapanować jedynemu filmowi groziła wieloma komplikacjami. Najbardziej niebezpiecznym z nich była rwąca się akcja. Tego filmu nie można było nazwać „Wolne miasto” uniknąć. Akcja filmu jest wyjątkowo warstwa, pełna doskonałych szczegółów, które niepozwornie, ale stale i systematycznie zacieśniają krąg ludzi i przyspieszają akcję zbliżając ją do tragicznego końca. Niektóre sceny są pod względem roboty reżyserskiej osiągnięciami naprawdę wysokiej klasy.

Od przeciętnej reżyserii wymaga się, aby reżyser na równi z dźwiękiem, z gry aktorów i kulorosty zdyktował (na wet w filmie czarno-białym) Stanisław Różewicz parę razy okazał nam to wspaniałą umiejętność wykorzystania ruchu, barwy i dźwięku równocześnie. Klasykcznym przykładem umiejętności reżysera jest scena w więzieniu. Widać, że reżyser włożył w nią wiele wysiłku i rzeczywiście, z niemej sceną dźwiękową przetrwałych samolotów zrobił swego rodzaju perełkę.

Różewicz wraz ze Szwarcem paskim po raz pierwszy sięgnął w filmie polskim do tematyki polskiego września. Zrobił to z wielką kulturą i przekonującym. Ani jedna scena nie jest przeszarżowana, nie ma tam szowinizmu



